

ELLEN JAMES

Zaręczyny

ROZDZIAŁ PIERWSZY

- Mam cię!

Kristin Mabry schwyciła Watsona za gardło, a następnie przystąpiła do pozornie niewykonalnego zadania odwinienia go z nogi od krzesła. Watson był liczącym sobie niemal dwa metry długości węzem boa i stanowił część pokaznej menażerii syna Kristin, Randy'ego. Do kolekcji należały jeszcze dwie brązowe myszy o imionach Agatha oraz Christie, papuga zwana Hercule Poirot, owczarek Sherlock oraz kot Holmes. Jak widać, Randy był zapalonym czytelnikiem powieści kryminalnych.

Odwinięty z nogi od krzesła, Watson odpłacił Kristin niezbyt przyjaznym syknięciem.

- Dość tego - orzekła. - Jazda do klatki.

Umieściwszy węza w terrarium, Kristin umościła się wygodnie na kanapie. Holmes, puchaty kocur, przycupnął na krzesło obok. Miał ogromną zaletę: umiał uważnie słuchać, a ktoś taki był właśnie bardzo potrzebny jego pani.

- Dzisiaj jest jeden z tych dni, Holmesie. Po prostu nic nie idzie tak jak trzeba.

Holmes wpatrywał się w nią swymi pełnymi wyrazu złocistozielonymi ślepiami. Syn Kristin przygarnął go, gdy był zabiedzonym, małym kociakiem, żałonym strzępkim sierści porzuconym u drzwi kliniki weterynaryjnej, którą prowadzili w Denver Kristin i jej mąż.

Teraz, oczywiście, już jej były mąż.

- Zastanawiam się - kontynuowała Kristin - czy zrobiłam dobrze, przenosząc się tutaj, do Danfield

w Oklahomie, odrywając Randy'ego od kolegów i szkoły. Ostatnio jest zbyt spokojny, żeby wszystko było w porządku. Dziś na przykład z trudem namówiłam go, by poszedł na basen.

Holmes zamrugał z powagą. Kristin westchnęła.

- Czasem ci zazdroszczę, że jesteś tylko kotem i twoje jedyne problemy, to jak zwać przed Sherlockiem. Bez prawdziwych zmartwień. Bez zdrady ze strony jedynej osoby, której ufało się bez zastrzeżeń...

Usłyszała leciutki szmer i podniosła oczy. Ujrzała mężczyznę, który stojąc na ganku patrzył na nią przez siatkę w drzwiach. Zdrętwiała. Jak długo tam już był, wysłuchując, jak wyzalał się kotu ze swych najbardziej osobistych problemów? Zmobilizowała resztki godności i podeszła do drzwi.

- Czym mogę służyć? - spytała oficjalnie.

- To zależy. - Nieznajomy miał głęboki głos i sympatyczny uśmiech. - Przepraszam, że przerwałem sesję terapeutyczną z kotem.

Kristin zaczerwieniła się. Rzeczywiście, cóż za obrazek musieli przedstawiać. Ona, rozciągnięta na kanapie, i Holmes, zasiadający na krześle obok. Sytuacja typowa dla pacjentki i psychoterapeuty!

Uważnie przyjrzała się przybyszowi. Z całą pewnością nigdy jeszcze go nie widziała. Ale przecież była w Danfield dopiero od dwóch tygodni.

- Głośne sformułowanie własnych problemów jest bardzo użyteczne - rzekła. - Wydają się wtedy łatwiejsze do rozwiązania. Poza tym Holmes jest o wiele tańszy od terapeuty. I nigdy nie udziela niewłaściwych rad.

To chyba dało nieznajomemu do myślenia.

- To bardzo ważne - odparł poważnie. - Nie ma nic gorszego niż zwierzak, który daje nieprzebrane rady.

Kristin nie wytrzymała i parsknęła śmiechem.

- A więc, co mogę dla pana zrobić?

Mężczyzna popatrzył na nią pytająco przez siatkę.

- Szukam pani doktor Kristin Mabry.

Wiedziała, że w tym momencie nie wygląda na poważnego weterynarza: w wystrzępionych szortach, z oklapniętymi od upału jasnymi włosami i boso. Otworzyła jednak drzwi i wyszła na ganek, starając się zachowywać w pełni profesjonalnie.

- To ja - oznajmiła.

- Andrew O'Donnell - mocno uściśnął jej rękę. Ponownie obrzuciła go wzrokiem. Regularne rysy, szare oczy, kruczoczarne włosy, słowem - bardzo atrakcyjny mężczyzna. Od chwili rozwodu Kristin starała się nie zwracać uwagi na wygląd mężczyzn. Czemu zrobiła to teraz?

Przybysz ubrany był nieobowiązująco w dżinsową koszulę, z kieszonki wystawało kilka piór i ołówków. Krawat sygnalizował pewną nonszalancję właściciela: luźno zawiązany i w śmiałe wzory. Do tego wąskie, czarne dżinsy i kowbojskie buty. Składało się to na całość bardzo sexy...

- A więc, panie O'Donnell?

- Jestem ochotnikiem.

- Ochotnikiem? Nie rozumiem.

- Z całą pewnością chodzi o panią.

Wydobył z kieszeni koszuli plik kart wizytowych i szybko je przerzucił.

- Proszę bardzo. Czarno na białym. Ochotnik dla doktor Kristin Mabry - spojrzał na nią z lekkim uśmiechem. - To ja, nowy tatuś dla pani synka.

Kristin sceptycznie potrząsnęła głową. W ubiegłym tygodniu rzeczywiście dowiedziała się, że Centrum Społeczne w Danfield mobilizuje miejscowych biznesmenów, aby spędzali nieco czasu z dziećmi, które wychowują się bez ojców. Program nazywał się „Zastępczy tata”. Kristin natychmiast wpisała się na listę zainteresowanych. Randy potrzebował kontaktu z kimś, kto mógłby pełnić dlań rolę męskiego wzorca. Jako że Kristin nie miała najmniejszego zamiaru spotykać się z nikim przez dłuższy czas - na przykład

przez najbliższe sto lat - uważała, że powinna postarać się o kogoś, kto wypełni lukę w życiu jej syna.

- Panie O'Donnell, mojemu synkowi rzeczywiście jest potrzebny zastępczy ojciec. Ale powiedziano mi, że będę mogła przejrzeć kartotekę, przeprowadzić wstępne rozmowy...

Andrew wetknął wizytówki z powrotem do kieszeni.

- Być może nie wyjaśniłem do końca całej sytuacji, doktor Mabry. Nie ma mowy o dokonywaniu wyboru. Zostałem do tej funkcji wyznaczony przez sąd.

- Teraz to już naprawdę nic nie rozumiem!

- Przecież to bardzo wygodne - rzekł sardonicznie.

- System prawny w Danfield wszystko za panią załatwił. Zastępczy tata dla pani synka. Podpisano, zapieczętowano, doręczono.

- Bzdura - rzekła twardo Kristin. - Przecież powiedziano mi, że będę mogła wybrać...

- Tym niemniej Wysoki Sąd w osobie Loraine Thaxter wcisnął mnie to zadanie. Mam przepracować społecznie czterdzieści godzin z pani chłopcem.

- Nie, panie O'Donnell, zacznijmy od początku. Proszę wytłumaczyć mi dokładnie, o co tu chodzi.

- Naprawdę, nie ma sensu wchodzić w szczegóły. Proszę mi wierzyć, że nie da się tego uniknąć. Już próbowałem.

- Fascynujące - stwierdziła Kristin. - Ochotnik, który usiłuje się wykręcić ze swego zadania.

Spojrzał na nią stropiony.

- Kiedy ja nawet lubię dzieci. Tylko że to akurat dla mnie nie najlepszy moment. Usiłuję przeprowadzić bardzo ważną transakcję.

- Transakcję, rozumiem. - Andrew O'Donnell nie sprawiał wrażenia typowego biznesmena. - A czym pan się zajmuje?

- Jestem właścicielem firmy produkującej zegarki wysokiej klasy. Produkuje się je ręcznie, jak za czasów mojego prapradziadka.

Spojrzenie Kristin pobiegło ku srebrnemu cacku, które O'Donnell miał na przegubie. Staroświeckie i wytworne, sprawiało wrażenie ponadczasowej elegancji. Ciekawe, czy to właśnie jego wyrób?

- Zegarmistrzostwo to szacowny zawód - powiedziała.

Uśmiechnął się.

- Proszę nie zakładać, że jestem całkowicie szacowny. Przez całe lata prowadziłem saloon-bar w Oklahoma City. Dopiero niedawno przejąłem rodzinny interes.

- Saloon...

Ten facet robił, co mógł, by wytrącić ją z równowagi. Kristin wskazała mu jedno ze stojących na ganku krzeseł.

- Proszę, niech pan usiądzie. A teraz chciałabym się wreszcie dowiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi.

Nieproszony gość ruszył w kierunku stłoczonych na ganku wiklinowych krzeseł.

Delikatne, wyplatane mebelki znajdowały się jeszcze nie tak dawno na ganeczku w Denver, w wielkim domu z mnóstwem zakątków i zakamarków, a nade wszystko z masą miejsca na wszelkiego rodzaju domowe graciki. Ale tu, w Danfield, Kristin było stać tylko na ten pudełkowaty ceglany domek z dolepioną małą werandą. Wiklinowe sprzęty z trudem się na niej mieściły i Andrew musiał przecisnąć się obok stolika, aby móc usiąść.

- Więc kim jest pani sędzia Thaxter i czemu wpłatała mojego syna w wyrok sądowy, panie O'Donnell?

- Loraine Thaxter stanowi prawo w tym mieście - odparł sucho. - Niech mi pani wierzy, lepiej jej nie podpaść. Niektórzy przekonali się o tym bardzo boleśnie.

Wykręcał się od odpowiedzi. Kristin pochyliła się ku niemu.

- Danfield to małe miasteczko i z pewnością nie będzie mi trudno odszukać Loraine Thaxter, a jeśli

pan mi wszystkiego nie wytłumaczy, będę zmuszona ją o to poprosić.

Andrew milczał przez chwilę, niespokojnie kręcąc się na przyciasnym krześle. Kimże, u licha, był ten człowiek? Z pewnością nie przykładem mężczyzny, jaki Kristin wymarzyła sobie dla Randy'ego. Powinien to być ktoś starszy, może dzentelmen z siwiejącą brodą. Andrew miał co najwyżej trzydzieści pięć lat. A do tego te szerokie ramiona i ostre rysy, sugerujące zdecydowanie i upór... Kristin odetchnęła głęboko. Gorące popołudnie otulało ją jak ciężki, wilgotny koc. Odgarnęła splecione włosy z policzka.

- No, dobrze - mruknął wreszcie jej gość. - To było tak. Byłem na tyle niemądry, że przez jakiś czas spotykałem się z Loraine. Chodziliśmy ze sobą przez parę miesięcy, potem doszło do zerwania i zanim się obejrzałem, wlepiła mi ten wyrok.

- Chyba jednak pan pominął kilka szczegółów - rzekła Kristin.

- Och, to naprawdę bzdura. - Teraz Andrew sprawiał wrażenie podenerwowanego. - Kiedy prowadziłem saloon, zacząłem kolekcjonować antyczną broń. Bardzo cenną, nawiasem mówiąc. Loraine wie, ile ta kolekcja dla mnie znaczy. Kiedy zerwaliśmy ze sobą, ni stąd, ni zowąd skonfiskowała ją, postawiła mnie przed sądem i oznajmiła, że albo odpracuję czterdzieści godzin na rzecz społeczeństwa, albo mnie przymknie. Okazało się, że nie miałem przepisowego zezwolenia. I w ogóle nie miało znaczenia, że większość pistoletów i tak nie działała. Przecież to antyki, u licha! Takie są fakty, doktor Mabry. Zadowolona pani?

- Aha, więc ma pan zająć się pracą społecznie użyteczną. Bardzo pięknie. Ale musi pan sobie znaleźć coś innego. Z całą pewnością nie nadaje się pan dla mego synka. Właściciel saloon u skazany za nielegalne posiadanie broni...

- I zegarmistrz. Proszę o tym nie zapominać.

- Dobrze. Jest pan skazanym za nielegalne posiadanie broni, prowadzącym saloon-bar zegarmistrzem z mściwą byłą przyjaciółką, sędzią z zawodu. Muszę szczerze powiedzieć, że nie byłabym zachwycona, gdyby mój syn akurat pana podziwiał.

Andrew posłał jej pełne niesmaku spojrzenie.

- To Loraine wymyśliła i stworzyła program z zastępczymi ojcami. Jest zdania, że pani synkowi potrzebny jest tata, a mnie... do diabła, mniejsza z tym. Jestem gotów wywiązać się ze swoich obowiązków.

Kristin wstała z krzesła i rzuciła mu nieprzychylnie spojrzenie.

- Mało mnie obchodzi, co uważa pani sędzia. Znajdę kogoś, kto naprawdę ma ochotę podjąć się tej funkcji!

Andrew sprawiał wrażenie, jakby był szczerze zaskoczony jej wybuchem. Czyżby naprawdę sądził, że Kristin będzie wdzięczna za jakąkolwiek pomoc, nawet niechętnie udzieloną?

- Żegnaj pana - dodała stanowczo. - Nasza mała rozmówka była niezmiernie pouczająca. Jeśli mogę udzielić panu rady na przyszłość, proszę uważać, z jakimi kobietami będzie się pan spotykał. Bezpieczniej trzymać się z daleka od prawniczek, policjantek i wszystkich innych, które...

Przerwała na widok nadchodzącego synka. Randy szedł powoli z rękami w kieszeniach szortów. Kosmyk mokrych włosów przylepił mu się do czoła. Sprawiał wrażenie głęboko zamyślnego.

Zatrzymał się na widok czerwonego bronco zaparkowanego przed domem. Dokładnie obejrzał samochód, a potem ruszył w kierunku schodków na werandę. Zamiast jednak wejść po nich, wdrapał się na drewnianą balustradę i usiadł na niej okrakiem. Obejrzał sobie przybysza bardzo dokładnie. Ten ze swojej strony przypatrzył mu się z nie mniejszą uwagą. Chłopiec i mężczyzna dosłownie zmierzyli się wzrokiem.

Randy przemówił pierwszy, zwracając się do Kristin.

- Cześć, mamó. Czy to mój nowy tatuś?

ROZDZIAŁ DRUGI

Jeśli ośmioletni synek Kristin podjął już jakąś decyzję, był nieustępliwy. Wystarczyło jedno spojrzenie na O'Donnella, by uznał, że jest to najlepszy zastępczy tata pod słońcem i żadne argumenty nie były w stanie zachwiać jego pewnością. Kristin zebrała więc informacje o Andrew i stwierdziła, iż pomimo romantycznych komplikacji z panią sędzią, był człowiekiem godnym zaufania. Aczkolwiek niechętnie, ustąpiła jednak Randy'emu, który ubłagał ją, by pozwoliła O'Donnellowi spróbować sił w roli zastępczego ojca.

Podczas pierwszego spotkania Andrew zabrał chłopca do mieszczącego się w centrum miasteczka salonu gier komputerowych. Randy wrócił do domu uszczęśliwiony. Ale co będzie na dłuższą metę? Nadejdzie przecież dzień, w którym czterdzieści godzin zasądzone przez panią sędzię Thaxter dobiegnie końca i mężczyzna zniknie z życia chłopca.

Kristin rozważała ten problem wieczorem, gdy po kolacji zasiedli z Randym w saloniku: ona nad powieścią kryminalną a chłopiec, wpatrzony w swój mikroskop. Nie opodal kot Holmes zezował na terrarium Watsona, zaś owczarek Sherlock nie spuszczał oka z Holmesa. Ów sielankowy obrazek rodzinnego spokoju mógł lada chwila przeobrazić się w totalny chaos.

Randy podziwiał to, co znajdowało się na szkiełku podstawkowym.

- Och, mam, ta pleśń wygląda bombowo. Chcesz zobaczyć?

Kristin uklękła obok syna i zerknęła w mikroskop.

- Jutro możemy zrobić inny eksperyment - rzekła.

- Zaczniemy hodować próbkę pleśni w lodówce i zobaczymy, co z tego wyniknie.

- Dobra. A potem pokazemy ją Andrew.

Kristin uśmiechnęła się blado.

- Nie jestem pewna, czy go to zainteresuje.

Randy zachmurzył się, jak za każdym razem, gdy jego matka próbowała podważyć doskonałość Andrew O'Donnella.

- On lubi eksperymenty - rzekł. - Chce, żebym mu pokazał, jak się wytwarza kryształki w słoikach.

Kristin wróciła do książki, ale nie mogła się skoncentrować. Tak bardzo ceniła logikę i niewzruszone prawa wiedzy. Nawet tornado lub huragan można było wyjaśnić, odwołując się do praw naukowych. Niestety, ludzie wywoływali uczuciowe tornada i huragany bez przestrzegania jakichkolwiek praw czy zasad. Małżeństwo, które wydaje się stuprocentowo trwałe i niezniszczalne, może niespodziewanie się rozpaść, ojciec - porzucić rodzonygo syna, a ochotniczy tata - pójść sobie po prostu, gdy skończy się jego czterdzieści godzin. Szczególnie jeśli wcale tej funkcji sobie nie życzy.

- Randy - rzekła łagodnie - musisz pamiętać, że pan O'Donnell ma swoje własne życie i jest bardzo zajęty.

- Jasne, mamo - odrzekł Randy z przesadną cierpliwością ośmiolatka. - Robi różne ważne rzeczy. Ale w sobotę ma mnie zabrać na mecz baseballowy.

Kristin, zdesperowana, zamilkła. Nie będzie teraz więcej o tym mówić. Ale im szybciej Randy zrozumie, że obecność tego ciemnowłosego mężczyzny w ich życiu jest tylko chwilowa, tym mniej ucierpi, gdy nadejdzie chwila rozstania.

Rozejrzała się niechętnie po ciasnym saloniku. Dokuczała jej klaustrofobia. Wtłoczyła do niewielkiego pomieszczenia zbyt wiele przedmiotów, ponie-

waż przypominały jej o szczęśliwym okresie życia, który pozostawiła za sobą. W oknach wisiały przywiezione z Denver doniczki z kwiatami, znalazł się tu też zabawny kot z ceramiki, prezent od przyjaciół z okazji otrzymania przez nią dyplomu lekarza weterynarii. Maszyna do szycia, na której bez powodzenia usiłowała ścibolić ubranka dla malutkiego Randy'ego... Poczwała dojmującą tęsknotę za czasami, gdy jej egzystencja wydawała się pełna. Miała wspaniałe dziecko, wspaniałą pracę i wspaniałe małżeństwo. W każdym razie tak jej się wtedy wydawało.

Randy położył następne szkiełko na podstawkę mikroskopu.

- To już wyjątkowe paskudztwo - mruknął do siebie z wyraźną satysfakcją. Kristin uśmiechnęła się. Miała przecież wspaniałe dziecko i wspaniałą pracę. To całkiem nie najgorzej! Z całą pewnością zadomowi się w Danfield. Życie w miasteczku było przyjemne i płynęło spokojnym, powolnym rytmem. Czegóż jeszcze mogła pragnąć? Uparcie starała się zignorować dokuczliwą samotność. Jednego tylko na pewno nie będzie się starała znaleźć w Danfield. Nowego mężczyzny.

- Randy! Randy! - dobiegł z zewnątrz dziecięcy głos.

Małec natychmiast zapomniał o mikroskopie i zerwał się na nogi.

- To Jonah! - oznajmił i wypadł z domu, hałasując za dziesięciu.

Kristin również wyszła na ganek, by nacieszyć się wieczornym chłodkiem, a Sherlock podreptał za nią.

Randy i Jonah pędzili w dół ulicy na rowerach, zaś matka Jonaha, Pam, drobna rudowłosa kobieta, oparła się o dzielący obie posesje płotek, by pogawędzić z Kristin.

- Cześć - rzekła. - No, jak tam? Zadomawiasz się?

- Powolutku, Pam. Może wiesz, kto mógłby pomalować mi parkan?

- Kuzyn mojego męża. To prawdziwa złota rączka. Powiem, żeby zjrzał do ciebie.

- To może skosiłby również trawniki? Mam też zamiar założyć ogródek kwiatowy.

Kristin zawsze przepadała za uprawą roślin. Uspokajała ją pewność, że te, którymi się zajmuje, rozkwitną, potem zwiędną, aby po pewnym czasie znów okryć się kwiatami.

- Dam ci trochę cebulek tulipanów - przyrzekła Pam. - A jak Andrew radzi sobie w roli zastępczego taty?

No, tak. Życie w małym miasteczku miało nie tylko zalety. Tutaj ludzie wiedzieli niemal wszystko o sobie.

- Jak dotąd można na nim polegać - rzekła ostrożnie. - Dzisiaj pojawił się, tak jak to było ustalone. A to już dużo.

- Ach, ten Andrew! Chyba nigdy się nie ustatkuje. Chodziliśmy razem do liceum, ale po maturze przeniósł się do Oklahoma City. Twierdził, że chce się czegoś dopracować z dala od Danfield.

- Hmm. - Swoją drogą małomiasteczkowe ploteczki miały swój urok, a Pam nawet nie potrzebowała zachęty.

- I rzeczywiście. Ten saloon-bar, który kupił prawie w stanie rozsypki... W ciągu kilku lat przeistoczył go w największy nocny klub w mieście. Występowały w nim najlepsze zespoły muzyczne country z Nashville.

- Jeśli odniósł tam sukces, to czemu wrócił do Danfield?

- To rzeczywiście dziwne - rzekła konfidencko Pam. - Fabryczka zegarków, która od pokoleń należała do jego rodziny, była na krawędzi bankructwa. Andrew sprzedał swój saloon i zainwestował w rodzinne przedsiębiorstwo wszystkie pieniądze. Jeśli mu się nie powiedzie, poniesie poważną stratę.

- Nic dziwnego, że jest taki zestresowany - mruknęła Kristin, czując niespodziewany przyływ sympatii dla Andrew. - Podoba mi się, że próbuje ratować

rodzinną firmę. Mam nadzieję, że wszystko dobrze pójdzie.

- Ale niezależnie od pracy ma jeszcze inne kłopoty. Z kobietami! Przed sędzią Thaxter była przecież Connie, ta ze sklepu z antykami. A jeszcze przedtem Serena Morton i możesz mi wierzyć...

- Chyba już wiem dość o uczuciowym życiu tego pana - przerwała Kristin. Jej sympatia gwałtownie opadła. - Bardzo się cieszę na te cebulki. Dzięki, Pam.

Eskortowana przez psa uciekła do domu. Wystarczy gadania. Ma dosyć własnych problemów, nie musi martwić się o Andrew O'Donnella. Podniosła rozespanego kota i tuląc go do siebie wyjrzała przez okno. Randy i Jonah ścigali się na rowerach. Może to zbieg okoliczności, ale jej synek sprawiał wrażenie weselszego i bardziej kontaktowego teraz, gdy miał zastępczego ojca. Z westchnieniem dotknęła policzkiem jedwabistej sierści zwierzaka.

- Niestety, Holmes, od tej pory będziemy musieli martwić się także o Andrew O'Donnella. I możemy mieć dużo, dużo zmartwień.

Nastąpił wyjątkowo pracowity tydzień. Był okres szczytu, więc pojawiało się wielu czworonożnych pacjentów, poza tym Kristin uczestniczyła w seminarium zorganizowanym przez Fundusz Opieki nad Dzikimi Zwierzętami oraz wyjeżdżała wielokrotnie na małe farmy nieopodal Danfield. Zauważyła jednak, że Randy przywiązywał się coraz bardziej do Andrew i niepokoiło ją to.

Pewnego popołudnia w klinice weterynaryjnej Kristin postawiła na stole zabiegowym zaniepokojoną spanielkę.

- Nie patrz na mnie tak smętnie, Dessie - rzekła. - Wiesz świetnie, że to nie będzie bolało.

Podniosła długie ucho suczki i wycisnęła z buteleczki cztery błękitne kropelki. Dessie nadal miała smętną minę - nie lubiła czyszczenia uszu.

- Ja mam naprawdę gorsze problemy - mruknęła Kristin. - Wolałabym mieć zainfekowane ucho niż ochotnika zmuszonego przez sąd do roli zastępczego taty.

- Coś mi się zdaje, że o mnie mowa. - Andrew O'Donnell wsunął głowę do gabinetu i przy okazji porządnie przestraszył Kristin swym nagłym pojawieniem. - Lepiej niech pani uważa. Jak kot się dowie, że wdaje się pani w pogaduszki z psami, będzie diabelnie zazdrosny.

Kristin poklepała Dessie po kosmatym łebku.

- Powinien pan zrozumieć, że weterynarz musi mówić do zwierząt, którymi się zajmuje.

- Jeśli pani tak twierdzi...

Miał na sobie beżowe dżinsy i jaskrawoniebieski krawat. Wyglądał bardzo atrakcyjnie. Za bardzo.

- Spodziewałam się, że odprowadzi pan Randy'ego już jakiś czas temu.

Andrew wszedł do gabinetu. Nie wyglądał na zbyt skruszonego.

- Rzeczywiście, trochę się zasiedzieliśmy. W salonie mają nową grę, która bardzo podobała się Randy'emu. Ale teraz pani synek wypełnia już swoje obowiązki. Czyści klatki w szpitaliku.

Kristin wpuściła krople do drugiego ucha Dessie i potarła je energicznie.

- Proszę się cofnąć - ostrzegła swego gościa.

- Czemu?

Spanielka potrząsnęła energicznie łebkiem. Długie uszy załopotwały w powietrzu, rozpryskując nadmiar lekarstwa. Potem suczka uspokoiła się, a Kristin nagrodziła ją psim herbatnikiem. Andrew pogładził zwierzę, zaś Dessie pomachała przyjaźnie obciętym ogonkiem. To aż irytujące, pomyślała Kristin, jak dzieci i zwierzaki lgną do tego lekkoducha.

- Musimy porozmawiać, panie O'Donnell.

- Oczywiście, doktor Mabry.

- Panie O'Donnell... - Spojrzała nań surowo.

- Po cóż tak formalnie? Niech pani mówi do mnie po imieniu.

- Chodzi o Randy'ego.

- To świetny chłopak.

- Tak, to prawda. I dlatego nie chciałabym narażać go na stresy. Od początku powiedział pan jasno, że ma bardzo napięte terminy i że zgłasza się pan tylko pod przymusem.

- Ale to nie znaczy, że nie lubię spędzać czasu z małym. Staram się jak mogę. Swoją drogą, Randy jest bardzo podobny do pani. Ten sam nos, takie same niebieskie oczy. Zabawne, że dotąd tego nie zauważyłem.

- Właśnie to, że się pan tak stara, stwarza problemy - rzekła Kristin stanowczo, pomijając milczeniem drugą część wypowiedzi.

- Problemy? Jakież?

Spojrzała na niego karcąco.

- W sobotę zabrał go pan do kina. Nie na normalny seans i nawet nie na podwójny. Siedzieliście na trzech filmach pod rząd! Gdy Randy wrócił do domu, był kompletnie oszołomiony od wpatrywania się przez tyle czasu w ekran.

- Jak często ma się okazję obejrzenia trzech klasycznych pozycji z historii filmu podczas jednej wycieczki do kina?

- Jasne. Nie można było stracić okazji, by zobaczyć: *Klątwę mumii*, *Syna mumii* oraz *Powrót mumiil*

W odpowiedzi Andrew posłał Kristin jeden ze swych ujmujących uśmiechów.

Desperacko brnęła dalej:

- Maraton filmowy to jedna sprawa. Następna, to cheeseburgery...

- Ojej, popełniłem jakieś przestępstwo związane z cheeseburgerami?

- Randy pochorował się po waszej wizycie w wesółym miasteczku, ponieważ pozwolił mu pan zjeść ich za dużo. Całą noc męczyły go koszmary.

Wreszcie dopięła swego. Andrew sprawiał wrażenie skruszonego.

- Może rzeczywiście trochę wtedy przesadziliśmy.

- Trochę? Pani O'Donnell, Randy'emu potrzebny jest nie kolega, a ojciec. Ktoś, kto ustanawia zasady, z którymi trzeba się liczyć. Na tym polegają w dużym stopniu obowiązki rodziców. Nawet w przypadku kogoś, kto tylko zastępuje ojca.

Zapadła chwila ciszy. Spanielka położyła łeb na łapach i znów wyglądała bardzo smętnie.

- Pani doktor... Kristin... zauważyłem coś dziwnego - rzekł z namysłem Andrew. - Randy nigdy nie wspomina o swoim prawdziwym ojcu. Nawet jednym słówkiem.

- Nie musi pan zaprzętać sobie głowy moim byłym mężem.

Nie odezwał się. Po prostu czekał, Kristin wyczuwała to bardzo wyraźnie.

- No, dobrze - rzekła w końcu cicho. - Ojciec Randy'ego ożenił się powtórnie niemal natychmiast po... po rozwodzie. Założył nową rodzinę i nie chce żadnych komplikacji związanych z poprzednią. Nawet, gdy chodzi o własnego syna. Dla Randy'ego to był cios. On po prostu nie rozumie...

- Ja też nie rozumiem - głos mężczyzny brzmiał ostro. - Cóż to musi być za człowiek, żeby porzucić własne dziecko!

- Zadawałam sobie to pytanie setki razy. Inne pytania zresztą także. Ale ze względu na Randy'ego nigdy nie powiem przy nim niczego złego o jego ojcu. Chłopiec jest i bez tego wystarczająco zagubiony.

Andrew wpatrywał się w nią ponad stołem zabiegowym.

- Ten program to przecież tylko coś doraźnego. Zdaje sobie pani z tego sprawę. Namiastka, zanim mały będzie znów miał prawdziwego ojca.

- Nigdy więcej nie wyjdę za mąż - rzekła twardo. - Drugie małżeństwo nie byłoby żadnym rozwiązaniem.

niem. Randy mógłby jeszcze bardziej ucierpieć. Skąd mogę wiedzieć, czy inny mężczyzna także by nie odszedł? Nie podjęłabym takiego ryzyka.

- Wydaje mi się, że nie tylko Randy ciężko to zniósł... A ten program... - zaczął niepewnie.

- Ten program mógłby stanowić jakieś rozwiązanie. Sprawiał wrażenie sensownego i dawał nadzieję. To znaczy, zanim pan się pojawił.

Nagle Kristin poczuła się potwornie udręczona. Im więcej starała się chronić syna, tym bardziej narażała go na potencjalne cierpienie. Wzięła spanielkę w ramiona i podniosła ze stołu.

- No, już po wszystkim - oznajmiła zwierzakowi.
- A my, panie O'Donnell, także chyba już omówiliśmy nasze sprawy. Bardzo proszę, żeby pan oparł swoje kontakty z Randym na trochę innych zasadach. Pewne ograniczenia są niezbędne.

- Wierzy pani, że naprawdę się postaram? -W jego tonie zabrzmiała nuta ironii.

- Wciąż mam wątpliwości. Natomiast Randy polubił pana od pierwszej chwili. No, to do widzenia. Syn jutro będzie na pana czekał.

- Zjawię się punktualnie.

To trzeba mu było przyznać. Zawsze pojawiał się punktualnie. Nigdy nie zawiódł oczekiwań chłopca.

- Więc do jutra, panie O'Donnell.

- Proszę mi mówić po imieniu.

- Do widzenia... panie O'Donnell.

ROZDZIAŁ TRZECI

Kristin szła szybkim krokiem przez znajdującą się w centrum Danfield Main Street, aż dotarła do budynku, w którym mieściła się firma O'Donnellów. Była to imponująca trzypiętrowa budowla o wyszukanych zdobieniach okalających dach. Ciemnozielone markizy osłaniały okna, a znajdujące się po obu stronach wejścia kamienne donice pełne fiołków i dali były jak kolorowe, serdeczne powitanie. Na jednym z okien, podkreślając nastrój nieco nostalgicznej elegancji, wypisane było złotymi literami: Chronometry O'Donnella. Kristin podziwiała to wszystko przez chwilę. Jaka szkoda, że nie może obdarzyć podziwem także właściciela firmy!

Pchnęła drzwi i energicznie weszła do środka. Znalazła się w dużym pomieszczeniu pokrytym kremową wytłaczaną tapetą. Tu i ówdzie rozmieszczone były eleganckie gablotki.

Kristin natychmiast zauważyła Andrew O'Donnella, który siedząc w swym gabinecie, oddzielnym od reszty pomieszczenia szklaną ścianką, pogrążony był w rozmowie telefonicznej. Jednocześnie szperał wśród piętrzących się na biurku papierów, wyraźnie czegoś szukając. Sprawiał wrażenie bardzo zajętego, podniósł jednak wzrok i zobaczył Kristin. W ciągu kilku chwil zakończył rozmowę i zbliżył się do niej.

- Pani doktor! Cóż za miła wizyta. Czy mogę panią oprowadzić? - zapytał żartobliwie. - Rano pokazałem tu wszystko Randy'emu. Wie już dokładnie, jak konstruuje się zegarek. Jest bardzo bystry. Przystwaja sobie z łatwością wszystko, co mu się powie.

- Rzeczywiście, przyswaja - rzekła Kristin.
- W tym cały kłopot.

Andrew sprawiał wrażenie rozbawionego.

- Domyśliłem się, że nie przyszła tu pani ot, tak sobie. I coś takiego zbroilem tym razem?

- Nie domyśla się pan?

- Przez ostatnie kilka dni zachowywałem się jak wzorowy zastępczy tata - rzekł potulnie. - Żadnych potrójnych seansów filmowych, żadnych cheeseburgerów.

Z tymi słowami wprowadził ją do swego pomieszczenia. Panował tu miły, pogodny nastrój. Przez okna wpadał słoneczny blask, oświetlając wiszące na ścianach sztychy z dawnych dni Danfield: konie i bryczki na Main Street, portrety poważnych osadników, dumnie pozujących przed swymi chatami.

Andrew wskazał gościowi krzesło, a sam usiadł za biurkiem.

- No, słucham - rzekł. - Jakie przestępstwo popełniłem tym razem?

-Andrew, ja naprawdę nie mam ochoty wciąż krytykować...

- No, nareszcie. Miałem nadzieję, że w końcu zaczniesz się do mnie zwracać po imieniu!

-Panie O'Donnell... Andrew... próbowałam powiedzieć, że to naprawdę nie jest dla mnie przyjemność przychodzić tu i dyskutować...

- Więc nie dyskutujmy - zaproponował pogodnie.

- Zamiast tego porozmawiajmy o zegarkach.

Poszperał w szufladzie i wydobył bardzo duży kieszonkowy zegarek.

-To służy do demonstracji. Żeby można było dobrze zobaczyć mechanizm. - Otworzył kopertę.

- Randy'ego to bardzo zainteresowało. Oto koło zapadkowe...

- Fascynujące. Ale to nie zmienia faktu, że podobno nauczyłeś mojego ośmioletniego syna grać w pokera i pozwoliłeś mu prowadzić swój samochód. Lada

chwila dowiem się, że pali cygara i obstawia konie na wyścigach!

Andrew zatrzasnął kopertę zegarka i usiadł wygodniej.

- Bez przesady. Nie lubię cygar i nigdy nie działały mi na wyobraźnię konie uganiające się po torze.

- Panie O'Donnell, dlaczego tak trudno się z panem rozmawia?

- Andrew, zapomniałaś?

- Cholera, Andrew!

- Nie, tylko Andrew. - Uśmiechnął się. - Chociaż mój tata mawiał „Cholera, Andrew” bardzo często, gdy byłem nastolatkiem. A w ogóle chyba przesadzasz. Powiem ci, jak to wyglądało. Randy pytał, co robię w wolnym czasie, więc wspomniałem o mojej cotygodniowej partyjce pokera. Wtedy on oczywiście chciał wiedzieć, jak się w to gra, a ja, cóż, udzieliłem mu paru wskazówek.

- Oczywiście.

Jadowity ton Kristin w najmniejszym stopniu nie speszył Andrew.

- A jeśli chodzi o prowadzenie samochodu - kontynuował - nie wiązało się z tym najmniejsze niebezpieczeństwo. Zawiozłem Randy'ego na boczną drogę, gdzie nie ma ruchu, i pokazałem mu, co robić z kierownicą i jak zmieniać biegi. Jest wystarczająco duży, by zacząć uczyć się takich rzeczy. Tak uważam.

Kristin nerwowo zabębniła palcami o oparcie fotela.

- To jest twoja opinia i masz do niej prawo. Ale Randy to mój syn i w sprawach, które go dotyczą, musisz podporządkować się moim opiniom. Jasne?

- Tak, zaczyna to być dla mnie jasne - odpowiedział z namysłem. - Chcesz mieć pod ręką zastępczego ojca, ale nie może on być prawdziwym człowiekiem, z własnymi sądami i zasadami. Coś chyba jest nie w porządku z twoim planem.

Kristin wstała i podeszła do okna. Zapatrzyła się na błękitne niebo nad domami.

- Wiem, że Randy'emu potrzebny jest inny punkt widzenia niż mój - przyznała. - Męski punkt widzenia. Ale od rozwodu naprawdę wolę unikać mężczyzn. Stąd pomysł, by włączyć Randy'ego w program „Zastępczy tata”.

Andrew także zbliżył się do okna. Stał przy niej, opierając się o futrynę.

- Ten facet, twój eks-mąż, Kristin, musiał cię naprawdę skrzywdzić.

Wsunęła dłonie w kieszenie spódnicy i mocno zacisnęła palce.

- To nie ma nic wspólnego z funkcją zastępczego ojca.

- Jak ty to sobie wyobrażasz? Chcesz powkładać części swego życia do oddzielnych pudełeczek? To nie może się udać. Twoja postawa wobec mężczyzn wcześniej czy później odbije się na Randym.

- Nie mam żadnej szczególnej postawy... cóż to za irytujące sformułowanie „postawa wobec mężczyzn”.

- Zdaje się, że trafiłem w sedno - rzekł. - Uznałaś, że wszyscy mężczyźni są tacy, jak twój były mąż, więc postanowiłaś znaleźć Randy •emu kogoś, kto ani jemu, ani tobie w żaden sposób nie mógłby zagrozić. Czy coś pomiąłem?

- Tak to mniej więcej wygląda. - Starła się, aby zabrzmiało to lekko. Ale Andrew dotknął czegoś bardzo bolesnego. Kiedyś wierzyła, że kobieta i mężczyzna mogą zakochać się w sobie i kochać zawsze. Teraz jednak traktowała cynicznie słowo „zawsze” w odniesieniu do jakiegokolwiek mężczyzny. - Pewnie uważasz, że zaraz po otrzymaniu rozwodu powinnam rzucić się na szyję komuś innemu - rzekła pogardliwie.

- A czemuż by nie?

- Między innymi i dlatego, że mężczyźni specjalnie nie są zainteresowani rozwódką z dzieckiem na utrzymaniu.

-Z tym się nie zgadzam - mruknął Andrew.
- Jesteś piękną kobietą, Kristin. Z pewnością wielu mężczyzn byłoby zainteresowanych.

Ich spojrzenia się spotkały. Jego ciemnoszare oczy kryły obietnicę czułości i niebezpieczne ciepło. Stali tuż przy sobie, skapani w blasku słońca. Wyciągnął rękę i delikatnie odgarnął z jej policzka kosmyk włosów.

- Kristin - rzekł z naciskiem - ty jesteś piękna.

- Proszę, Andrew, nie mów tak do mnie.

Uśmiechnął się.

- Masz zbyt wiele zasad. Dla Randy'ego, dla mnie, no i z pewnością całe mnóstwo dla samej siebie.

- Są mi potrzebne. - Patrząc w jego oczy nie była w stanie pozbierać myśli. Zadrzała pod jego dotknięciem, a on pochylił się ku niej...

Ktoś zapukał w szklaną szybę otaczającą gabinet Andrew. Dopiero teraz Kristin zdała sobie sprawę, jak bardzo byli widoczni. Cofnęła się szybko i ujrzała schludnego pana około sześćdziesiątki, czekającego za szklaną przegrodą z uprzejmym wyrazem twarzy. Zbyt uprzejmym. Prawdopodobnie widział wszystko.

- To pan Larcum - rzekł speszony Andrew. - Byłem z nim umówiony na piątą. To bardzo ważne spotkanie, a ja prawie o nim zapomniałem...

- Nie martw się. Już idę.

I wyszła szybko z niepokojącym wrażeniem, że gdyby nie ów starszy pan, Andrew z pewnością by ją pocałował. Ale jeszcze bardziej niepokojąca była świadomość, że ona sama by tego chciała. Bardzo, ale to bardzo.

-Nie ma mowy, Andrew. Mam iść z tobą na randkę? Czyś ty zwariował?

Kristin ścisnęła w dłoni słuchawkę telefonu, przechadzając się nerwowo po saloniku. Wizyta w „Chronometrach Ó'Donnella” wystarczająco wytrąciła ją z równowagi, ale ten telefon doprowadził wręcz do tego, że nie mogła usiedzieć w jednym miejscu.

-Tylko nie wyciągaj pochopnych wniosków - mruknął głos w słuchawce. - Nie chodzi o randkę. Raczej o spotkanie robocze.

- Przed chwilą powiedziałaś, że to koktajl party!

- No, dobrze. To koktajl dla moich niektórych partnerów i współpracowników. Odbywa się u mnie. Muszę zapoznać ze sobą niektóre wpływowe osoby.

- D o widzenia...

- Błagam, nie odkładaj słuchawki. Koniecznie musisz być ze mną na tym przyjęciu. Po prostu jako... jako znajoma. Dokładnie tak. Jako znajoma.

Kristin usiłowała zachować spokój. Po wizycie w firmie podliczyła czas, jaki Andrew miał jeszcze do odpracowania z Randym i stwierdziła, że pozostało już bardzo niewiele godzin. Wzięła więc syna na poważną rozmowę i przypomniała mu, że jego spotkania z zastępczym tatą niedługo się skończą. Jednak jej słowa nie wywarły na chłopcu żadnego wrażenia. Randy uparcie trwał w przekonaniu, że Andrew stanowi integralny element ich życia rodzinnego i że tak będzie nadal. A teraz jeszcze to absurdalne zaproszenie...

- Andrew - rzekła Kristin stanowczo - wiem, że udało ci się zrazić do siebie co najmniej połowę żeńskiej populacji Danfield. Ale na pewno uda ci się jednak znaleźć jedną jedyną panią, która nie wie nic o twojej reputacji i zgodzi się towarzyszyć ci na tym przyjęciu.

- Jeśli chodzi o moją reputację - rzekł Andrew - to dużo w tym wszystkim przesady. Po prostu w kilku wypadkach powstały różnice poglądów między mną a przedstawicielkami płci pięknej. Mogłoby to się zdarzyć każdemu.

-Różnice poglądów... - Kristin przeniosła się wraz z aparatem telefonicznym na kanapę i usiadła wygodnie. W klatce nie opodał Hercule Poirot zaważdiacko nastroszył pióra.

- Powiem ci, na czym to wszystko polega - rozgadał się Andrew znienacka. - Na tym, że jeśli tylko zaprosi się kobietę kilka razy do teatru lub na wystawę, to nagle okazuje się, że ona już planuje, ilu będzie gości na weselu i zamawia zaproszenia ślubne.

Ten temat wyraźnie wywoływał u niego silne emocje. Kristin poklepała po łbie Sherlocka, który wgramolił się na kanapę obok niej i dla sprawiedliwości pogładziła Holmesa, który usadowił się z drugiej strony. Potem jej spojrzenie pobiegło ku cedrowemu kufrowi, który odziedziczyła po babce. W takich kufrach gromadziło się wyprawę dla przyszłej panny młodej. Ach, kobiety i ich oczekiwania...

- Andrew, pozwól, że ci coś uświadomię - rzekła. - Niestety, przedstawicielki naszej płci są tradycyjnie wychowywane w głębokiej wierze w szczęśliwe zakończenia bajek. Takie zakończenia brzmią: „I żyli potem długo i szczęśliwie”. Razem, oczywiście. Musisz o tym pamiętać, zapraszając kobietę do teatru czy na wystawę... A wracając do rzeczy: nie pójdę na to przyjęcie.

- Kristin...

- Do widzenia. - Rozłączyła się, ale nadal wpatrywała się w telefon. Jej przewidywania były słuszne. Niemal natychmiast zadzwonił. Chwyciła słuchawkę.

- Powiedziałam „nie”. Prościej już tego nie umiem wyłożyć.

- Proszę cię, byś mi pomogła. Przyjęcie jest jutro o ósmej. Nie mam wiele czasu na negocjacje. Jesteś jedyną osobą, która może mi pomóc.

- Czemu? Czyżbym była jedyną kobietą w Danfield, która jeszcze chce z tobą rozmawiać? To wszystko jest jakieś niewyraźne. Chciałabym wiedzieć, co naprawdę knujesz?

- To długa historia. Czemu się po prostu nie zgodzisz i już? Poza tym, powinniśmy i tak się zobaczyć, żeby pogadać o Randym.

Znał jej słaby punkt. Wzięła telefon i trzymając go w dłoni zbliżyła się do okna. Randy szalał na traw-

niku wraz z Jonahem i dwoma innymi chłopcami z sąsiedztwa. Wyglądał zdrowo i wesoło, jakby ta kombinacja - Danfield i Andrew O'Donnell - dobrze mu służyła.

- Hej, Kristin, jesteś tam? - spytał zaniepokojony jej milczeniem Andrew.

Westchnęła.

- Tak, jestem. Sama nie wiem, dlaczego się zgadzam, ale możesz po mnie przyjechać jutro o wpół do ósmej. Tylko pamiętaj - to nie jest randka!

ROZDZIAŁ CZWARTY

Następnego dnia Kristin wpadła do domu dwadzieścia po siódmej, by przygotować się na swoją nie-randkę. Miała za sobą kompletnie zwariowany dzień z kolejnym cyklem szczepień i nagłą operacją psa collie, potrąconego przez samochód. Collie szczęśliwie wyżył i odpoczywał w szpitaliku pod opieką asystentki Kristin, zaś pani doktor nerwowo szperała w szafie, poszukując odpowiednich pantofli. Randy właśnie skończył kolację i kręcił się w pobliżu.

- Może Andrew weźmie cię do kina - wyraził przypuszczenie.

- Randy, już ci mówiłam, że nie idę na randkę
- odparła z całą cierpliwością, na jaką było ją stać.
- Idziemy na spotkanie robocze.

Wygrzebała wiekowy pantofel w kolorze purpury oraz biały sandałek i cisnęła je w kąć.

- Ty nigdy nie chodzisz na randki, mamo!

Ta uwaga zirytowała ją tak bardzo, że wynurzyła się z szafy i obrzuciła syna karcącym spojrzeniem.

- Z całą pewnością nie zacznę na nie chodzić z Andrew O'Donnellem.

- Ale ja go lubię - stwierdził z uporem syn.

Odezwał się dzwonek i Randy wybiegł, aby otworzyć. Kristin wsunęła stopy w czarne pantofelki, udało jej się też wypatrzeć pasek w kącie szafy. Szybko przeciągnęła szczotką po włosach i zaskoczyła sama siebie skrapiając się perfumami. Na nic więcej nie było czasu.

Randy i Andrew stali przy terrarium zagłębieni w rozmowie. Chłopiec szczegółowo opisywał zwyczaje

Watsona, zaś Andrew uważnie słuchał, wtrącając od czasu do czasu jakąś uwagę. Kristin obserwowała ich przez chwilę. Widać było, że czują się ze sobą swobodnie: mały, zawiadacki chłopiec o jasnych włosach i wysoki, ciemnowłosy mężczyzna. Patrząc na nich niespodziewanie poczuła, że coś ją ściska za gardło.

- Randy, Jonah czeka na ciebie - rzekła. - Jego mama obiecała, że przygotowuje dla was popcorn.

Ale nawet ta perspektywa nie wystarczyła, by Randy zechciał pożegnać Andrew i wyjść. Kristin musiała zdecydowanie, acz łagodnie, skierować go ku drzwiom.

Andrew, ubrany w jasną marynarkę i także spodnie wyglądał bardzo elegancko, Kristin, dziwnie podenerwowana, poczuła, że musi się poruszać po mieszkaniu, aby nie stracić resztek pewności siebie. Wskazała na kanapę.

- Usiądź, proszę. Za chwilę będę gotowa.

Miała nadzieję, że mężczyzna zdoła znaleźć dla siebie odrobinę miejsca pomiędzy gramami, książkami oraz miniaturowymi samochodzikami Randy'ego. Sama, w dostojnej asyście psa i kota, desperacko usiłowała znaleźć torebkę, by wreszcie zlokalizować ją pod stołem w jadalni. Była już teraz gotowa i nie miała wyboru. Musiała powrócić do salonu i do Andrew.

Udało mu się jakoś wcisnąć pomiędzy zalegające kanapę różności i teraz uważnie przyglądał się łami-główce, którą Kristin i Randy zaczęli składać z kawałeczków na stoliku do kawy. Dołączył do niej jeszcze jeden fragment i podniósł wzrok na swą gospodynię.

- Ładnie wyglądasz - stwierdził.

- Nie musisz się wysilać tylko dlatego, że idziemy na przyjęcie...

- Nie wysilam się. Mówię prawdę. Wyglądasz ładnie.

- No to... dzięki. - Jak to dobrze, że włożyła jedną ze swych najładniejszych sukienek, z czerwonego jedwabiu w drobny wzorek, układającą się w miękkie fałdy i drapowania.

Andrew nadal siedział na sofie pogrążony w myślach.

- Czy nie czas na nas? - spytała. - Chyba nie chcesz się spóźnić na swoje własne przyjęcie? Sprawiasz wrażenie, jakbyś w ogóle nie miał ochoty na nie iść.

Obracał w dłoniach jeden z miniaturowych samochodów.

- W zasadzie nie mam nic przeciwko takim imprezom...

- A dzisiaj masz? Wiesz, od kiedy wynikła sprawa tego koktajlu, zachowujesz się jakoś dziwnie. Nie podoba mi się to.

Wstał i ruszył ku drzwiom.

- A, to przecież tylko cholerne przyjęcie - rzucił z determinacją. - Idziemy.

Kristin czuła się coraz bardziej niepewnie. Jaki też wieczór ją oczekiwał?

Gdy Andrew zatrzymał czerwone bronco przed swym domem, Kristin nasunęła się myśl o odległych krajach. Rozszerzające się podstrzesza ceglanego budynku miały w sobie coś z japońskiej pagody, natomiast dach z czerwonej dachówki skojarzył się jej z hiszpańską willą. Z kolei weranda wносиła odrobinę nastroju amerykańskiej prerii. Wszystko to razem składało się - o dziwo - na czarującą całość.

- Moi dziadkowie zbudowali go w latach trzydziestych - wyjaśnił Andrew, prowadząc Kristin w kierunku drzwi. - Gdy powróciłem do Danfield, uznałem, że dom powinien pozostać w rodzinie, więc się do niego wprowadziłem.

- Twoja rodzina jest mocno zrosnięta z historią miasteczka - zauważyła Kristin.

- Jako nastolatek uważałem to za zupełnie naturalne i nie zastanawiałem się nad tym. Ale teraz patrzę na te sprawy inaczej. - Andrew zmarszczył brwi, jakby w obawie, żeby nie odsłonić za bardzo swych uczuć.

Gdy weszli do domu, okazało się, że przyjęcie jest już w toku. Wszędzie kręcili się goście, smakując wyłożone na tacach pyszności. Odbywało się to pod czujnym okiem sekretarki Andrew, Ginnie, eleganckiej starszej pani o krótko ostrzyżonych szpakowatych włosach.

- Nie brak pani odwagi, pani doktor - powitała Kristin. - Gratuluje, moja miła. I powodzenia!

Andrew zdecydowanie ujął swą towarzyszkę pod ramię i skierował w inną stronę.

- O co jej chodziło? - spytała zaskoczona. - Co miała na myśli twoja sekretarka?

- Och, Ginnie taka już jest, nie zwracaj na nią uwagi - odparł z wymuszoną niefrasobliwością. - Oto ktoś, kogo chcę ci przedstawić.

Zaczął przedstawiać Kristin na prawo i lewo, nie dając jej czasu na rozmyślenia o osobliwym powitaniu sekretarki. Okazało się, że większość gości to pracownicy „Chronometrów O'Donnella”. Niestety, Andrew nie pozwalał jej porozmawiać z nikim dłużej niż minutę, lecz natychmiast odciągał ją do kolejnej osoby.

Wreszcie Kristin miała tego dość. Pomaszerowała wprost do bufetu i poczęstowała się eklerem z czekoladą. Ale Andrew i tu nie odchodził od niej na krok, zupełnie, jakby jej pilnował.

- Co to u licha znaczy? - zapytała poirytowana.

- Czemu nie pozwalasz mi z nikim porozmawiać?

- Przecież rozmawiałaś z masą ludzi. Staram się tylko, żebyś... hmm... krążyła wśród gości.

- Już mi się w głowie kręci od tego krążenia.

- Może to rzeczywiście nie był dobry pomysł, żeby cię tu przyprowadzać - mruknął.

I pomyśleć, jak błagał, by zechciała przyjść na przyjęcie!

- Wiesz co? Nauczono mnie jakich takich manier, więc pozwól mi się nimi posługiwać. Nie przyniosę ci wstydu.

- Nie wątpię. Jesteś z całą pewnością najatrakcyjniejszą kobietą na tym przyjęciu. W innej sytuacji chwaliłbym się tobą przed wszystkimi.

- Co się właściwie z tobą dzieje? - spytała. - Urządzasz przyjęcie we własnym domu a jednocześnie zachowujesz się, jakby wszędzie było pełno sideł i zasadek!

- Bardzo to trafnie ujęłaś. Chodź, odetchnijmy od tego przez chwilę.

Pociągnął za sobą Kristin. Chwilę później znaleźli się w dużym pokoju o przeszklonych drzwiach wiodących do ogrodu. Za nimi widać było piękne klomby róż, kampanuli i barwnych tulipanów. Oczarowana tym widokiem, Kristin była niemal gotowa wybaczyć Andrew jego irytujące zachowanie.

- Czy sam uprawiasz ogród? - spytała, stając w drzwiach, by nacieszyć się zmięszchem i delikatnym podmuchem wiatru.

- Nie ja. Ogrodnik, który pracował jeszcze u moich dziadków. Świetnie się trzyma jak na swoje osiemdziesiąt pięć lat. Chyba to grzebanie się w ziemi dobrze mu robi.

Kristin poczuła się zawiedziona, że te piękne uprawy nie są dziełem Andrew. Sama uwielbiała hodować rośliny i przez chwilę ucieszyła ją myśl, że może mają takie samo hobby.

Odwróciła się znowu do pokoju i dopiero teraz dostrzegła pod jedną ze ścian długi stół zegarmistrzowski. Pełno na nim było pudeł z narzędziami, a oświetlała go robocza lampa fluorescencyjna. Andrew podążył wzrokiem za jej spojrzeniem.

- Tutaj sobie majsterkuję - wyjaśnił. - Jeśli tylko mam chwilę czasu, szperam w sklepikach z antykami i na targach staroci, wszędzie, gdzie mogę trafić na wysłużony zegarek, któremu mogę się na coś przydać. Nic przyjemniejszego, niż przywrócić do życia taki zapomniany czasomierz.

Mówił o zegarkach jak o żywych stworzeniach. Kristin nie mogła powstrzymać uśmiechu. Zbliżyła

się do warsztatu i ujrzała imponujący zbiór maszyn i narzędzi: tokarkę, imadło, komplety pilników i odważników.

- Myślę, że to coś więcej niż majsterkowanie - rzekła. - To wszystko wygląda bardzo profesjonalnie.

- Od dziecka pomagałem ojcu i dziadkowi. Nauczyłem się od nich, jak się to robi.

Kristin przysiadła na stołku, próbując sobie wyobrazić, jak dorasta się w rodzinie o silnych tradycjach. Jej bliscy rozrzućeni byli w różnych miejscach: rodzice mieszkali w Illinois, dziadek w Montanie. Nikt nie zapaścił korzeni na stałe w jednym miejscu, tak jak O'Donnellowie. Poczła odrobinę zazdrości.

- Rozumiem teraz, czemu wróciłeś do Danfield - rzekła miękko.

Uśmiechnął się z ironią.

- Kiedy byłem bardzo młody, nie mogłem się doczekać, żeby wyrwać się z tej miejsciny i zapomnieć o naszej firmie. Z radością zostawiłem ją ojcu i stryjowi. To było fantastyczne: zaryzykować z tym saloon-barem w Oklahoma City i odnieść sukces. Trudno sobie wyobrazić coś bardziej odległego od zegarmistrzostwa!

Nagle spowaźniał.

- Ale potem wszystko się zmieniło. Ojciec umarł, a stryj po prostu nie był w stanie sam zarządzać wytwórnią. Zapytał, czy chcę przejąć firmę. Ryzyko było duże, ale nie mogłem się oprzeć wyzwaniu.

- A czy sprawy rozwijają się pomyślnie? - spytała.

Andrew zaczął nerwowo przechadzać się po pokojku.

- No, nie idzie to łatwo. Ojciec i stryj popełnili zasadniczy błąd. Próbowali rozkręcić produkcję popularnych kwarcowych zegarków. Ale inni producowali je znacznie taniej i w większych ilościach. - Zatrzymał się nagle przed Kristin. - Powiem ci, co ja próbuję zrobić. Wracam do oryginalnych,

mechanicznych zegarków O'Donnellów, kosztownych, lecz starannie wykończonych. Posiadanie takiego zegarka powinno być czymś wyróżniającym, ekskluzywnym. Chciałbym stworzyć właśnie taki image dla firmy założonej przez mego prapradziadka.

- Masz szansę - rzekła Kristin. - Ludzie tęsknią do dawnej, tradycyjnej jakości i solidności. Sama chętnie nosiłabym jeden z twoich zegarków.

Przypatrzył się jej w skupieniu.

- Do ciebie pasowałby zegareczek na łańcuszku - orzekł. - Cyzelowane złoto, w odcieniu twoich włosów...

Było coś nazbyt intymnego w jego tonie. Kristin wstała szybko i zbliżyła się do wiszącej na ścianie pustej gabloty, w której przedtem niewątpliwie znajdowała się broń.

- Domyślam się, że pani sędzia Thaxter nie dopuści, by kolekcja pistoletów wróciła do ciebie - rzekła, dziwiąc się, czemu to przypomnienie o uczuciowym życiu gospodarza tak boleśnie ją ukuło pod sercem.

- Wysoki Sąd uważał, że przyda mi się nauczka - burknął Andrew. - A ja sądzę, że Wysoki Sąd był po prostu wściekły, bo nie zamierzałem podpisać aktu ślubu.

- Spotykasz się z nią nadal?

Teraz Andrew naprawdę stracił humor.

- Nie, ani z nią, ani z kimkolwiek innym. Uczę się na własnych błędach. Żadnych pań więcej!

- Ja też się uczę. Żadnych panów - odparła Kristin. - Więc jednak jest coś, co nas łączy, Andrew.

- Myślę, że nie masz racji. Randy'emu potrzebny jest ojciec, a tobie - mąż. To oczywiste.

Kristin popatrzyła na niego oszołomiona.

- Jeden mąż mi wystarczy, dziękuję bardzo. W ogóle nie powinnam się w nim nigdy zakochać. Byłam taka młoda i naiwna. Ale musimy już wracać do gości...

- Ginnie na pewno świetnie daje sobie ze wszystkim radę - odparł. Usiadł na ławie i rozluźnił krawat.
- A tobie by się przydało wylać wreszcie z siebie to wszystko.

- Przecież nie zrobię ci wykładu na temat moich prywatnych spraw - zaprotestowała.

- Randy nigdy nie mówi o tym, co go gryzie, to znaczy o tym, że własnemu ojcu już na nim nie zależy. Chyba ma to po tobie. Ty też wszystko w sobie dusisz. Co on ci takiego zrobił, ten facet, za którego wysłaś?

Kristin ponownie odwróciła się i zapatrzyła w ogród. Miała wrażenie, że letni zmierzch, ciężki i pełen słodczy, otaczają ze wszystkich stron. I nagle bardzo zapragnęła mówić o tym, co ją tak bolało.

ROZDZIAŁ PIĄTY

- Mąż mnie zdradzał - rzekła Kristin cicho. - To trwało długi czas. A potem porzucił mnie dla tamtej kobiety.

W ogrodzie koliber zawisł nad kwiatami jak barwna plama, by niemal natychmiast odfrunąć. Andrew milczał przez chwilę, po czym zbliżył się do Kristin i lekko dotknął jej ramienia.

- Przykro mi - rzekł. - Nie sądziłem, że tak to wyglądało.

Nie chciała jego współczucia i cofnęła się o krok. Gdy znów zaczęła mówić, w jej słowach brzmiała gorzka nuta.

- To niemal zabawne, mam na myśli sposób, w jaki to się stało. Widzisz, prowadziliśmy z mężem klinikę weterynaryjną, a tą kobietą była nasza dwudziestoletnia asystentka...

Dotykała bolącej rany, która jeszcze się nie zblizniła. Ale nie mogła się powstrzymać. Gdy już zaczęła mówić, jakąż ulgą będzie wypowiedzieć wszystko do końca.

- Sama także zaczynałam jako asystentka Blake'a. W ten sposób się poznaliśmy. Pobraliśmy się i skończyłam studia weterynaryjne, byśmy mogli razem pracować. Wydawało się, że to idealny układ. Oczywiście nie zdawałam sobie sprawy, że Blake ma skłonności do romansów z asystentkami, a ja byłam po prostu jedną z nich!

Przerwała, ale tylko na moment.

- Powinnam była rozpoznać symptomy. To, że mój mąż oddalił się ode mnie. Że przestał interesować

się Randym. Ale tak bardzo chciałam utrzymać w całości swój wyidealizowany świątek, że nie byłam w stanie dostrzec, jak w rzeczywistości był niedoskonały. W gruncie rzeczy teraz jestem w o wiele lepszej sytuacji. Nie musisz mi współczuć, Andrew.

Znów zbliżył się do niej.

-Kristin...

W najnaturalniejszy sposób delikatnie wziął ją w ramiona, oferując jej milczące pocieszenie, któremu nie potrafiła się oprzeć. Przyłgnęła do niego, czując jego ukrytą siłę, wdychając świeży zapach wody po goleniu, kojarzący się z chłodnym, ciemnym lasem. Andrew podniósł lekko jej podbródek i pocałował ją, a ukojenie przeobraziło się w poczucie słodkiego niebezpieczeństwa. Pozwoliła tylko na lekkie dotknięcie jego ust, po czym natychmiast uwolniła się z uścisku.

- Nie, Andrew! To niepotrzebne!

Jego twarz pokrył cień.

- Masz rację. Nie mam pojęcia, dlaczego to zrobiłem.

Kristin usiłowała ochłonać po tym, co się zdarzyło. Musi koniecznie wydostać się z intymnej atmosfery panującej w tym pokoju.

- Przyjęcie w dalszym ciągu się odbywa, mimo że starasz się ten fakt zignorować - rzekła.

Milczał, wpatrując się w nią przez dłuższą chwilę.

- Rzeczywiście, musimy tam wrócić - powiedział w końcu.

Podczas ich nieobecności pojawili się następni goście. Andrew natychmiast powrócił do swej irytującej taktyki. Przedstawiał komuś Kristin, zaledwie dając jej szansę wymiany pozdrowień, po czym odciągał ją w inną stronę. Gdy podeszli do kolejnej osoby, Kristin rozpoznała pana, którego zauważyła kilka dni wcześniej, gdy była w gabinecie Andrew.

- Kristin, chciałbym ci przedstawić pana Benjamin Larcuma. Panie Larcum, oto pani Kristin Mabry.

Nowo przybyły był schludnym, starszym panem, ubranym w garnitur, na którym nie było ani pyłka, z białą nakrochmaloną chusteczką w kieszonce marynarki. Miał bystre spojrzenie, zupełnie, jakby sprawdzał, czy nic w pobliżu nie wymaga posprzątania czy uporządkowania.

-A więc mam przyjemność z doktor Mabry - rzekł. - Bardzo mi miło. Andrew dużo o pani mówił.

- O mnie? - Zaskoczona spojrzała na swego towarzysza.

- Pan Larcum wie, że zaczęłaś praktykować w naszym mieście jako weterynarz - rzekł nieco zbyt niefrasobliwym tonem. Ujął ją pod łokieć. - Musimy teraz pana opuścić, chciałbym jeszcze poznać Kristin z kilkoma osobami.

-Aż tak nam się nie spieszy. - Tym razem nie pozwoli się odciągnąć, nie zamieniwszy bodaj paru słów. - Proszę mi powiedzieć, czy pan współpracuje z „Chronometrami O'Donnella”?

Pan Larcum przybrał zasadniczy wyraz twarzy.

-W tej chwili nie, pani doktor. Ale w najbliższym czasie podejmę decyzję, czy „Domy Towarowe Larcuma” będą prowadzi sprzedaż tych zegarków. Dlatego przyjechałem do Danfield. Zawsze staram się poznać moich potencjalnych kontrahentów, także na gruncie prywatnym, chciałbym więc dowiedzieć się więcej o Andrew. O, pojawiła się moja córka. Joanna jest naszym wiceprezesem do spraw personelu.

Joanna Larcum była piękną kobietą, choć w niczym nie przypominała swego schludnego, pedantycznego ojca. Wiedziała świetnie, że przy takiej urodzie może sobie pozwolić na pewną dozę ekscentryczności: jej kruczoczarne włosy opadały aż do połowy pleców, zaś luźna suknia zsuwała się z jednego ramienia. Swobodny styl dodawał jej jeszcze uroku.

Przypatrzyła się Kristin, nie kryjąc ciekawości.

- Więc to ty jesteś tą tajemniczą damą, którą Andrew ukrywał aż do dzisiaj. Wreszcie możemy cię poznać, Christine.

- Na imię mi Kristin. I raczej nie uważam się za tajemniczą damę. - Rzuciła ostre spojrzenie swemu towarzyszowi.

- Joanna tylko żartuje - rzekł szybko. - Prze-prosimy teraz państwa. Na pewno też chcielibyście pokrażyć wśród gości.

Pan Larcum odwrócił się, by wszcząć rozmowę z kimś innym, ale z Joanną nie poszło tak łatwo.

- Koniecznie musicie mi opowiedzieć, jak się poznaliście - zażądała. - Andrew dotąd milczał jak grób. Więc, jak to było, Christine?

- Kristin. Właściwie nie ma o czym opowiadać. Andrew zgłosił się, by ochotniczo zająć się moim synkiem.

- No, właśnie - potwierdził znów nazbyt kordialnie Andrew.

- Nie, nie. Musi istnieć bardziej interesująca wersja - nalegała Joanna. - Zrób mi przyjemność, Christine. Jestem taka romantyczna.

Kristin uświadomiła sobie, że ich rozmówczyni miała jednak jedną cechę, która łączyła ją z ojcem: przenikliwe spojrzenie zdające się badać, co kryje się pod powierzchnią. Kojarzyło się to jakoś z zaglądaniem pod kamień w poszukiwaniu robali.

- Obawiam się, że pomiędzy nami dwojgiem nie ma nic romantycznego - rzekła sucho Kristin i nagle zarumieniła się, gdyż w tym samym momencie wymienili z Andrew spojrzenie, które znów przywołało dotknięcie jego warg.

- Trudno mi w to uwierzyć - mruknęła Joanna. - Każda para ma w sobie bodaj szczyptę romantyczności.

Andrew zdecydowanie ponownie chwycił łokieć Kristin i odciągnął ją, tak że nie mogła zapytać, o co chodziło z tą parą.

- Pogadamy później, Joanno - rzucił. - Kristin jeszcze nie poznała wszystkich gości.

Ale Joanna jeszcze z nimi nie skończyła.

- Andrew, Christine - zawołała przez cały pokój.
- Najlepsze życzenia z okazji zaręczyn. Nawet nie zdążyłam zapytać, kiedy ślub!

Kristin zatrzymała się tak nagle, że kelner, niosący tacę z przekąskami, omal na nią nie wpadł.

- Zaręczyny? - spytała. - Ślub?

Andrew desperacko potrząsnął głową.

- No, to wpadłem - jęknął. - Po same uszy.

Kristin odrzuciła moką ścierkę, którą wycierała okna i padła na jedno ze stojących na werandzie krzeseł. Właściwie sama czuła się jak wyżęta szmata. Dzisiejsze popołudnie spędziła na solidnym sprzątanii, co ze względu na obowiązki zawodowe i macierzyńskie nieczęsto jej się zdarzało. Ale tym razem zamiatanie i szorowanie działało jak psychoterapia: pozwoliło jej rozładować frustrację związaną z postępowaniem Andrew. Było jednak zbyt gorąco na dalszą pracę fizyczną. Sherlock rozłożył się u jej nóg: świeżo ostrzyżony, z zieloną kokardą na grzywe wyglądał dość niemądrze. Kristin pogładziła go, po czym przytknęła do czoła na wpół opróżnioną szklanekę mrożonej herbaty. Nie była to jednak wystarczająca ochłoda. Wyjęła więc z napoju kilka kostek lodu i wsunęła je za dekolt swej trykotowej koszulki.

Owczarek podniósł kudłaty łeb, gdy przed dom zajechało czerwone bronco. Chwilę później Andrew nadszedł dróżką. Wyglądał świeżo i emanowała zeń energia, jak gdyby rozpalone słońce szczególnie mu służyło.

- Niepotrzebnie przyjechałeś. Po przedwczorajszym przyjęciu nie mamy chyba sobie nic więcej do powiedzenia - rzekła spokojnie Kristin.

Na jego twarzy malowała się determinacja.

- Za każdym razem, gdy dzwonię, odkładasz słuchawkę. Chcę ci to wszystko wyjaśnić.

- Tu nie ma nic do wyjaśniania. Z Randym nie będziesz się więcej spotykał. Zresztą już prawie odpracowałeś swoje czterdzieści godzin. Studiuję teraz zgłoszenia z Centrum Społecznego i wkrótce na pewno wybiorę kogoś odpowiedniego na twoje miejsce.

-A co na to Randy? Chciałbym z nim porozmawiać.

- Poszedł na lekcję pływania i nie wróci prędko. Poza tym wszystko mu już wyjaśniłam. On zrozumiał.

Andrew oparł się łokciami o balustradę werandy.

- Co mianowicie mu wyjaśniłaś? Chcę wiedzieć, jaka jest sytuacja.

Kristin zawahała się. W ciągu tych dwóch dni z Randym nie było łatwo wytrzymać: albo się dąsał, albo był niegrzeczny, poza tym pytał o swego zastępczego tatę mniej więcej co pięć minut. Ale tego Andrew nie powinien wiedzieć.

- Powiedziałałam mu, że nie tak łatwo znaleźć kogoś, kogo polubi, i że muszę jeszcze trochę poszukać.

- I on to zaakceptował?

- On to zaakceptuje. Nie martw się. Nie powiedziałam mu, jak opowiadałeś na prawo i lewo, że jesteśmy zaręczeni.

W tym momencie jedna z kostek lodu wyśliznęła się spod koszulki i spadła na stopnie. Uniósłszy brwi, Andrew uważnie przyjrzał się kawałeczkowi lodu, który natychmiast zaczął zamieniać się w małą kałużkę.

- Uważasz, że to w porządku, żeby Randy cierpiał z powodu naszego małego nieporozumienia? - zapytał.

- Może twoim zdaniem to nieporozumienie. Moim - to po prostu oszustwo. Dlaczego właściwie rozpowiadałeś, że mamy się pobrać?

- Po to właśnie dzwoniłem, żeby ci wyjaśnić. Ale nie chciałaś ze mną rozmawiać.

Nadal nie miała ochoty słuchać jego wyjaśnień.

- Mam do ciebie żal i nie chcę, żeby Randy się z tobą więcej spotykał...

- Zrozumiesz, jeśli mnie na chwilę dopuścisz do głosu. Wysłuchasz mnie, czy nie?

Kłopot był w tym, że Andrew sprawiał wrażenie, jakby mówił szczerze. Zastanawiała się przez chwilę, a potem wstała i otworzyła siatkowe drzwi.

- Zaraz wrócę - rzuciła.

W kuchni napełniła dwie wysokie szklanki mrożoną herbatą i wrzuciła do środka mnóstwo lodu. Zniosła je na werandę i podała jedną swemu gościowi.

- Proszę - rzekła. - A teraz słucham.

Teraz, gdy zgodziła się go wysłuchać, Andrew miał wyraźne trudności z rozpoczęciem wyjaśnień. Obracał szklankę w dłoniach, uważnie wpatrując się w jej zawartość. Popołudnie stawało się coraz gorętsze. Kristin wyłowiła ze swej szklanki kawałek lodu i bez skrupułów wpakowała go sobie za wycięcie koszulki. Andrew nie zareagował na ten widok i wreszcie zaczął:

- Jak świetnie wiesz, miałem ostatnio wyjątkowego pecha jeśli chodzi o kobiety.

- Ja ujęłabym to inaczej. To raczej one miały pecha.

Westchnął.

- Ale w gruncie rzeczy wszystko sprowadza się do różnicy oczekiwań - kontynuował.

- Właśnie, właśnie. Kobiety, z którymi się spotykasz pragną zaangażowania, miłości i małżeństwa. A ty nie. - Włożyła za dekollet kolejną kostkę.

- To, co wyprawiasz z lodem, cholernie mnie rozprasza - wytknął jej.

Skrzyżowała ręce na pfcodzie bluzki.

Andrew upił duży łyk herbaty.

- Po tej historii z panią sędzią Thaxter postanowiłem dać sobie na jakiś czas spokój z kobietami. Ale

to nie takie proste, gdy praktycznie niemal wszystkie panie z okolicy wiedzą, że jest się wolnym i... hm, jakby to określić, kawalerem do wzięcia. Ale znalazłem wyjście. Zasugerowałem pewnej szczególnie... hm, towarzyskiej brunetce, że jestem zaręczony. Natychmiast przestała się mną interesować. Zaskakujące też, jak szybko ta pogłoska się rozeszła, a moi pracownicy potraktowali ją jako fakt.

- Niesłychane, po prostu niesamowite - mruknęła Kristin.

- Grunt, że podziąkało - bronił się. - Wystarczyła jedna mała sugestia i miałem święty spokój.

- Mam ci pogratulować przebiegłości?

- Nie uważam się za przebiegłego. To był raczej akt samoobrony. Wreszcie miałem spokój i mogłem skupić się na rozwijaniu firmy.

Twarz Andrew przybrała wyraz skupienia, jak zwykle gdy mowa była o jego przedsiębiorstwie.

- Nieźle się namęczyłem, żeby namówić Benjaminą Larcum, by przyjechał do Danfield i zapoznał się z moimi zegarkami. Jeśli wprowadzi je do swych domów towarowych, to będzie właśnie ta szansa, której szukałem. Za tą umową pójdą następne i „Chronometry O'Donnella” zaczną wychodzić na swoje. Wtedy ostro pójdziemy w górę.

Na moment Andrew pograżył się w swej wizji przyszłości, ale szybko znów zapatrzył się smętnie w herbatę.

- Do licha - rzekł. - Tyle tylko, że nie wziąłem pod uwagę Joanny Larcum.

Kristin stopniowo zaczynała się dobrze bawić tą pogawędką.

- Zaczynam się domyślać - rzekła pozornie poważnie. - Joanna trochę za bardzo się tobą interesuje, więc jej też wspominasz, że jesteś zaręczony. Tylko że ją nie tak łatwo zniechęcić. I żąda dowodów.

- Nie, to nie było tak - zaprotestował. - To do jej ojca dotarła plotka o zaręczynach. I bardzo

to pochwałał. A ja już tyle zrobiłem, by podpisać z nim kontrakt... Zresztą Joannie też nie zaszkodziło, że się dowiedziała, iż mam narzeczoną. Krążyła wokół mnie jak rekin. Co cię właściwie w tym śmieszy, Kristin?

- Bo to w sumie zabawne. Czuję, że gdy Joanna dowie się prawdy, rozerwie cię na strzępy. Tak to bywa z rekinami.

- To jeszcze nie wszystko - kontynuował ponuro Andrew. - Gdy Larcum zobaczył nas w moim biurze, doszedł do wniosku, że to właśnie ty jesteś moją narzeczoną.

Kristin nagle odechciało się śmiać.

- A ty oczywiście nie sprostowałeś tej pomyłki.

- Za dużo spraw się nawarstwiło. Już zaplanowałem koktajl party dla pana Larcuma, a on spodziewał się, że pozna na nim moją narzeczoną, panią doktor weterynarii. Joanna także mnie naciskała. Jednym słowem musiałaś się tam ze mną pokazać.

Kristin powściągnęła nieodparte pragnienie, by wylać mu na głowę resztę herbaty.

- Gdybyś mnie chociaż uprzedził, że mam występować jako twoja przyszła...

-Miałem taki zamiar. Ale gdy zadzwoniłem do ciebie, zachowywałaś się, jakby to było wypowiedzenie wojny, a nie zaproszenie na przyjęcie.

- To nie jest tłumaczenie!

- A zgodziłabyś się pójść, gdybym cię poprosił, byś udawała, że jesteś moją narzeczoną?

- Oczywiście, że nie! Rzuciłabym słuchawkę!

-I tak ją rzuciłaś, pamiętasz? Więc uznałem, że najpierw muszę doprowadzić do tego, żebyś w ogóle przyszła, a wszystko wyjaśnię ci na miejscu. Tylko że jakoś nie wyszło.

-Więc dlatego tak mnie goniłeś od gościa do gościa. -Kristin nadal nie mogła się nadziwić planowi Andrew. - Nie chciałeś dopuścić, by ktoś powiedział coś niewłaściwego. Ginnie niemal to zrobiła, ale wszystko się wydało dopiero dzięki Joannie Larcum.

Andrew skrzywił się.

- Słuchaj, zdaję sobie sprawę, że strasznie narozrabiałem. Przyszedłem tu, by cię przeprosić.

Kristin objęła kolana rękoma i spojrzała na niego. Wyglądał, jakby mu było naprawdę przykro.

- Nigdy nie odrzucam przeprosin. Nawet takich pokrętnych jak twoje.

Skinął głową i kontynuował, jakby wszystko już zostało załatwione.

- W porządku. Obiecałem Randy'emu, że wezmę go w sobotę do zoo. Nie chciałbym sprawić mu zawodu.

- Zaraz, zaraz! - przerwała mu Kristin. - Przeprosiny to jedna sprawa. Twoje spotkania z Randym - to zupełnie inna. Mały potrzebuje kogoś, do kogo może mieć zaufanie. Komu ja mogę zaufać. A jak mogłabym to teraz zrobić?

- To proste - odrzekł spokojnie. - Popełniłem błąd i przyznałem się do niego. Zaczniemy od tego momentu. A przynajmniej pozwól mi skończyć moje czterdzieści godzin. Tyle jestem winien Randy'emu.

Kristin wstała i odrzuciła pasmo włosów, które opadło jej na czoło.

- To niemożliwe - rzekła, dziwiąc się sama, jak trudno jej wypowiedzieć te słowa. - Po tym, co nas spotkało ze strony mojego byłego męża, nie mogę popełniać więcej pomyłek, które mogą odbić się na Randym. Skąd mogę wiedzieć po tym numerze z zaręczynami, co jeszcze możesz wykonać?

- Nie jestem twoim byłym mężem. I nie robię jednego „numeru” za drugim.

- Nie mogę ryzykować - odrzekła z uporem. - Nie chcę, by Randy się z tobą spotykał.

Andrew z kamienną twarzą oddał jej szklanekę z resztą mrożonej herbaty. Lekki powiew smętnie zaszeleścił w gałązkach płaczącej wierzby nie opodal. Mężczyzna zaczął schodzić ze schodków, zatrzymał się jednak i odwrócił do Kristin.

-Wciąż powtarzasz, że starasz się chronić Randy'ego, ale prawda jest taka, że chronisz przede wszystkim siebie.

Odszedł, a po chwili Kristin usłyszała zgrzyt żwiru pod kołami samochodu.

Chwyła ponownie ścierkę i zabrała się za okna. Andrew oczywiście nie miał racji. Podjęła decyzję dla dobra Randy'ego. Jediną decyzję możliwą w tej sytuacji.

Czuła się jednak fatalnie.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

- Wszyscy zakochani sprzecząją się od czasu do czasu, pani doktor, ale już zaczynałam się martwić. Tak się cieszę, że pani przyszła, by się z nim zobaczyć.

Ginnie, sekretarka Andrew O'Donnella, uśmiechnęła się serdecznie do Kristin, siedzącej po drugiej stronie biurka w sekretariacie „Chronometrów O'Donnella”. Była szczerze ucieszona i pełna życzliwości, ale Kristin miała ochotę na nią wrzasnąć. Ginnie wyraźnie uważała ją nadal za narzeczoną swojego szefa.

- Andrew jest w ładowni. Zaraz go tu ściągnę. Nie mogę się doczekać, by znów zobaczyć was razem.
- Sięgnęła po słuchawkę telefonu.

Po krótkiej rozmowie uśmiechnęła się do Kristin.

- Nie martw się, moja miła, on zaraz tu będzie.

Kristin wydała dźwięk, który był czymś pośrednim między śmiechem a jękiem. Jakże to wszystko można komuś wytłumaczyć? Od rozmowy na werandzie minął trudny do wytrzymania tydzień. Randy nieustannie pytał, kiedy znów będzie mógł się zobaczyć z zastępczym ojcem. Dzisiejszego popołudnia, aby rozewrać chłopca, Kristin wzięła go ze sobą na farmę poza miastem, gdzie miała dokonać inspekcji stada krów. W normalnej sytuacji Randy byłby uszczęśliwiony, dziś jednak snuł się ponuro za matką, wtrącając przy każdej okazji do rozmowy imię swego dorosłego przyjaciela. Po powrocie podrzuciła syna do domu Pam, a sama przybiegła wprost do zakładu.

Andrew pojawił się w drzwiach sekretariatu i obrzucił Kristin zaskoczonym spojrzeniem.

- Nie spodziewałem się twojej wizyty - rzekł z rezerwą. W jego zachowaniu wyraźnie wyczuła dystans.

-Andrew, musimy porozmawiać. Domyślam się, że jesteś zajęty, ale...

- Rzeczywiście, jestem bardzo zajęty.

Nie ułatwiał jej sprawy, o nie. Ale Ginnie starała się pomóc.

-Poradzę sobie sama przez chwilę. Koniecznie porozmawiajcie.

Zawahał się i kiwnął głową.

- Właśnie szedłem zobaczyć się z jednym z majstrów. Jeśli chcesz, możesz pójść ze mną.

Odwrócił się i ruszył w kierunku windy. Musiała niemal biec, by za nim nadążyć. Jasne było, że teraz on zamierza dyktować warunki.

Pojechali windą na jedno z wyższych pięter i Kristin nagle znalazła się w zagadkowym świetle mechanizmów. Gdy Andrew odszedł, by porozmawiać z pracownikiem, rozejrzała się z ciekawością.

W dobrze oświetlonym pokoju znajdowały się różne stanowiska pracy. Przy jednym kobieta obsługiwała maszynę o skomplikowanym układzie drucianych koszy i szklanych rurek. Przy innym mężczyzna z zegarmistrzowską lupą w oku obracał we wnętrzu zegarka miniaturowy śrubokręt. Kristin skojarzył się ten widok z chirurgiem, nachylającym się ze skalpelem nad pacjentem. Rzemiosło, pomyślała, utrzymane w dawnym stylu rzemiosło, jak wówczas, gdy zegarmistrze szczycili się swymi umiejętnościami. Nic tu nie przypominało bezosobowej linii produkcyjnej.

Uderzyło ją coś jeszcze. Pracownicy wyraźnie czuli się swobodnie w stosunku do swego szefa, jego obecność nie wywoływała napięcia. Kristin wiedziała, że wielu robotników należało już do kolejnego pokoleni pracującego w tej firmie. Znowu uderzyło ją poczucie ciągłości w życiu Andrew, tradycji, które szanow i pielęgnował.

Właśnie skończył rozmowę z majstrem i powrócił do Kristin. Rzucił okiem na przegub.

- Zaraz będziesz mogła powiedzieć, o co ci chodzi. Chodźmy, przegryzę coś, gdy będziemy rozmawiać. Nie miałem dotąd czasu na lunch.

Wjechali windą na trzecie piętro i weszli do pomieszczenia służącego jako pokój jadalny. Andrew otworzył drzwiczki wielkiej lodówki i wziął sobie z tacy kanapkę.

- Może też coś zjesz? - zaproponował.

Rzeczywiście, przecież i ona od dawna nie miała nic w ustach. A zawartość lodówki była bardzo zachęcająca: nie tylko apetycznie wyglądające kanapki, ale i misy z sałatką, owoce i najrozmaitsze desery. Kristin nałożyła sobie na talerz plasterki melona i rogalik z cynamonem.

Gdy usiedli, uśmiechnęła się do swego towarzysza.

- Naprawdę, jestem pod wrażeniem, jak świetnie prowadzisz swoją firmę - rzekła. - Myślę, że twoi pracownicy muszą czuć się tu dobrze. Wszystko jest przemyślane. Z przekąskami włącznie.

Obejrzał uważnie swoją kanapkę.

- Coś mi się wydaje, że nie przyszłaś po to, by podziwiać moje umiejętności menedżerskie. O co naprawdę idzie?

Nie bardzo wiedziała, jak zacząć.

-Przyszłam... bo... do licha, muszę poprosić cię o przysługę!

- O przysługę. Rozumiem. - Z jego twarzy niczego nie można było odczytać.

Kristin nabiła na widelec kawałek melona, ale jakoś nie zaczynała jeść.

-Właściwie to proste. Chodzi o to, że... chciała-bym, żebyś znów zajął się Randym... jako jego zastępczy tata. Jesteś mi... jesteś mu potrzebny. Chcę dla mego syna tego, co najlepsze. Okazało się, że ty jesteś najlepszy.

- Hm. Teraz sądzisz, że jestem najlepszy. W zeszłym tygodniu tak nie uważałaś. Co sprawiło, że zmieniłaś zdanie?

To było naprawdę upokarzające.

- Randy jest bardzo smutny i nic nie jest w stanie go pocieszyć, nawet inny zastępczy tata...

- Inny? Zachowujesz się, jakby zastępczy ojciec dla twego syna był towarem na zamówienie pocztowe. Jeśli coś nie działa, odsyłasz go z powrotem i żądasz innego.

Założył dłonie za głowę. Teraz już się nie spieszył. Słońce, padając przez żaluzje rzucało wzór na jego twarz. Trudno było odgadnąć, w jakim jest naprawdę nastroju.

- Musisz być wściekła - rzekł. - Okazało się, że nie masz wyboru. Musiałaś przyjść tu i poprosić. Przyznać, że może myliłaś się co do mnie.

- Nie musisz się odgrywać - szepnęła. - Przepraszam.

- W takim razie może zrobimy interes? Ja skończę moje czterdzieści godzin z Randym. Nie, zrobię więcej: spędzę z nim następne czterdzieści. Ale ty też musisz coś dla mnie zrobić. Ja nadal potrzebuję narzeczonej. Też zastępczej.

Nie wierzyła własnym uszom.

- Och, nie. Tylko nie to! Andrew, czyś ty zwariował?

- To po prostu konieczne. Od podpisania umowy z Larcumami zależy cała przyszłość mojej firmy. On nieustannie o ciebie pyta. Joanna zresztą też.

Kristin błyskawicznie straciła apetyt. Odsunęła nadgryziony rogalik.

- Czy to znaczy, iż oni nadal wierzą, że jesteśmy zaręczeni? To powiedz im, że zerwaliśmy.

- Niestety, to niemożliwe. - Andrew także odepchnął talerz. - W najbliższy weekend nastąpi uroczyste otwarcie ich nowego domu towarowego w Oklahoma City. Benjamin spodziewa się, że będę na nim obecny z moją wybranką. To znaczy z tobą.

- Nie ma mowy! - krzyknęła. - Absolutnie wykluczone!

- To należy do naszej umowy. Zastępczy tatuś w zamian za zastępczą narzeczoną.

Kristin wpatrywała się w Andrew. Mimo wszystko do tej chwili dopatrywała się w nim pewnych zalet. Podobała jej się determinacja, z jaką pragnął doprowadzić do rozkwitu rodzinny interes. Także fakt, że lgnęły doń zarówno dzieci, jak zwierzęta, mógł przemawiać na jego korzyść. Ale teraz i te cechy przestawały się liczyć.

- Nie mogę uwierzyć, że jesteś aż tak bezwzględny - rzekła. - Załatwiasz swoje sprawy, stawiając na szalę szczęście dziecka.

- Bezwzględny, co? A ty? Najpierw mnie wykopałaś, a potem uznałaś, że jeszcze mogę się przydać. Ale nie martw się. Będzie jak chcesz, tylko że to cię będzie kosztowało.

Kristin świetnie wiedziała, co powinna zrobić: wstać, trzasnąć drzwiami i nigdy, nigdy tu nie wracać. Ale zbyt dobrze widziała smutek i tęsknotę Randy'ego. Pragnęła, by był szczęśliwy. Chciała tego bardziej aniżeli czegokolwiek na świecie.

- Ustalmy dokładnie - powiedziała. - Ja będę ci towarzyszyć w Oklahoma City w charakterze twojej narzeczonej...

- Kochającej narzeczonej - wtrącił z pokerową twarzą.

- Nie przeciągaj struny - parsknęła. - A więc ja się tam z tobą pojawię, a ty znowu zajmiesz się Randym. I dorzucisz nawet kolejne czterdzieści godzin. To wszystko? Koniec na tym?

- Dokładnie. Jeśli wywiązesz się ze swojej części umowy, możesz być pewna, że ja wywiążę się z mojej.

- Dobrze - burknęła. - Pójdę z tobą na to otwarcie. Tylko nie myśl sobie, że to dla mnie szczególna przyjemność.

Andrew wyciągnął dłoń.

- Umowa stoi? Ręka?

Kristin rzuciła mu wściekłe spojrzenie, ale zrobiła to samo.

- Ręka - odrzekła.

Przytrzymał jej dłoń.

- Właściwie zaręczyny jako instytucja zaczynają mi się podobać. Oczywiście pod warunkiem, że są tylko czasowe. Może i ty powinnaś je polubić?

Jego dotyk wywołał u niej wewnętrzny dreszcz. Wyrwała dłoń i zerwała się z krzesła.

- Do widzenia, Andrew.

- Zaczekaj chwilę.

Teraz jego twarz była absolutnie poważna.

- Chcę ci coś powiedzieć. Nawet gdybyś nie zgodziła się spełnić mojej prośby, i tak bym wrócił. I zadeklarowałbym te dodatkowe godziny.

Znieruchomiała.

- Więc wymusiłeś to na mnie ot tak sobie?

- Nie, nie ot tak sobie - odparł, w dalszym ciągu z pełną powagą. - Wkopałem się po uszy z tą historyjką o zaręczynach i potrzebna mi twoja pomoc. Przyznaję, że trochę posłużyłem się szantażem...

- D o jasnej...

- Interes ubity. Nie możesz się wycofać.

Niestety, Kristin miała zwyczaj dotrzymywać obietnic, nawet absurdalnych. Tak więc nie miała wyboru: będzie znowu zastępczą narzeczoną.

- Przejdźmy do działu z biżuterią, kochanie. Musimy kupić wreszcie dla ciebie pierścionek zaręczynowy.

- Nie nazywaj mnie tak! Nie jestem żadnym twoim kochaniem!

To wszystko było idiotyczne. Byli obecni na otwarciu domu towarowego Larcumów dopiero od godziny, a ją już wytrąciła z równowagi konieczność udawania przyszłej panny młodej.

Andrew ujął ją za rękę i poprowadził po marmurowej posadzce.

- Coś mi się zdaje, że nie potrafisz poddać się przyjemnemu nastrojowi uroczystości - zauważył.

- Przeciwnie, świetnie sobie radzę - zaprotestowała. - Podczas przecinania wstęgi pan Larcum sprawiał wrażenie, jakby głęboko wierzył, że naprawdę jesteśmy zaręczeni.

- To prawda, ale Joanna była jakby nieco sceptyczna.

Rzeczywiście, sytuacja stała się niezręczna, gdy Joanna zwróciła uwagę, że narzeczona nie ma zaręczynowego pierścionka. Ale czy należało się tym aż tak przejmować? Kristin nie miała najmniejszej ochoty na wizytę w dziale z biżuterią. Jakim sposobem, u licha, Andrew tak dobrze się tym wszystkim bawił?

Dom handlowy Larcumów był eleganckim i kosztownym miejscem. Na stolikach o kryształowych blatach połyskiwały ozdobne wazon-y i lampy z brązu; tu i ówdzie wyeksponowano filigranowe wyroby ze srebra oraz połączone świeczniki. Gdy wreszcie dotarli do działu jubilerskiego, Kristin była tak spięta, że ścisnęła mocno palce swego towarzysza.

- Masz sporo siły - zauważył.

- Dość często muszę się mocować ze zwierzakami, które nie mają ochoty na zastrzyk. I zawsze zwyciężam. - Sama nie wiedziała, czemu ścisną rękę Andrew, jakby to było koło ratunkowe. - Boże, jak ja nie znoszę kręcić. To wbrew mojej naturze.

- Mojej też. Uwierz mi, jak tylko Larcumowie wyjadą, więcej się nie zaręcę. A propos, jaki pierścionek byś chciała? Mają tu ogromny wybór.

- Andrew, przecież nie będziemy kupować pierścionka! Niech Joanna myśli sobie, co jej się podoba.

Ale Andrew rozmawiał już z elegancką sprzedawczynią i po chwili złote cacka z połyskującymi brylantami leżały przed Kristin na czarnym ak-samicie.

- Odmawiam kategorycznie!

- Kochanie, przymierz tylko któryś, żebyśmy wiedzieli, jaki masz obwód palca.

Zanim zdążyła się zorientować, Andrew wsunął jej pierścionek na palec. Musiała przyznać, że dokonał dobrego wyboru: niewielki brylancik obramowany delikatnym złotem.

- Pasuje do ciebie - rzekł Andrew z zadowoleniem.
- Jest na tyle mały, że nie będzie ci w niczym przeszkadzał. Nawet w przepychankach ze zwierzakami, które nie chcą zastrzyku

W jakiś dziwny sposób mogła sobie wyobrazić siebie, noszącą to cacko na co dzień, a także odrobinę zaskoczenia, jaką odczułaby za każdym razem, gdy padłby na nie jej wzrok. Zaskoczenia, ale i radości...

Szybko zsunęła go z palca i odłożyła na aksamitną wyściółkę.

- Żadnych pierścionków - rzekła.

Sprzedawczyni wyglądała na zawiedzioną. O dziwo, Andrew także. Rozejrzył się dookoła.

- Być może wkrótce będą tu wystawione także i moje zegarki - powiedział.

- Naprawdę mam nadzieję, że podpiszesz ten kontrakt z panem Larcumem. Twoje zegarki są takie eleganckie i w dawnym dobrym stylu.

Wsparł łokieć na ladzie.

- Cieszę się, że podobają ci się nasze wyroby. To prapradziadek ustanowił ich wysoką jakość. Przyjechał do Danfield na rozklekotanym wozie osadnika i nie miał nic, poza garstką drobnych w kieszeni. Ale wiedział za to dobrze, co zrobić, by zegarek tykał. Czasem mu zazdrozczę. Może urodziłem się w nieodpowiednim czasie? Powiniennem sam być jednym z pionierów, walczących o swoją działkę ziemi.

-Walczysz o swój cel w Danfield - szepnęła Kristin. - To jest twoje miejsce.

Andrew w zamyśleniu patrzył na nią, a ona pragnęła, by kontynuował opowieść o swym prapradziad-

ku. Było coś kojącego w tym dawno minionym świecie, w którym uczucia grały tak ważną rolę.

- Ach, tu się ukryliście - rozległ się głos Joanny.

- Właśnie zastanawiałam się, gdzieście się podziali.

Kristin obróciła się i rzuciła jej mało zachęcające spojrzenie. Dzisiaj Joanna ubrana była w zupełnie przedziwną suknię z golfem. Ale w jakiś niezrozumiały sposób wyglądała atrakcyjnie, tak jakby brak stylu w ubiorze podkreślał jej urodę.

-Dobrze się bawicie? - Nagle wzrok Joanny padł na brylanty wciąż rozłożone na aksamicie.

- Ojej, zdaje się, że trafiłam na bardzo ważny moment!

Wyraźnie jednak nie przejęła się tym, że przeszkadza. Zbliżyła się do Andrew i stała teraz odrobinę zbyt blisko niego przy kontuarze.

Kristin poczuła nagle, że wciąga ją rola. Miała odtwarzać narzeczoną? W porządku, będzie się zachowywać jak narzeczona. Wepchnęła się pomiędzy tych dwoje i uważnie spojrzała na klejnoty.

- Właśnie wybieraliśmy pierścionek - rzekła, wsuwając dłoń Andrew pod swoją rękę. - Prawda, kochanie?

Tylko prawie niedostrzegalne drgnięcie kącika ust zdradziło jego rozbawienie.

-Tak... kochanie. Wszystko potoczyło się tak szybko, że nie mieliśmy w ogóle czasu zająć się podstawowymi sprawami: pierścionkiem, datą ślubu i tak dalej.

- Szybko się potoczyło - powtórzyła Joanna.

- A więc nie znacie się od dawna?

- Czasami miłość po prostu zwała człowieka z nóg - zaimprovizowała Kristin. - Jakby się dostało po głowie.

Podniosła pierścionek, który oglądali wcześniej.

- Co sądzisz o tym, Joanno? Andrew wybrał właśnie ten.

Joanna rzuciła na klejnot niechętnie spojrzenie.

-Z pewnością będziecie zadowoleni z każdego przedmiotu kupionego w naszej firmie. - Zwróciła się do sprzedawczynie, która na jej widok znów się zbliżyła. - Estelle, proszę otworzyć rachunek na nazwisko pana O'Donnella.

Kristin odruchowo otworzyła usta, by zaprotestować, ale natychmiast zamknęła je z powrotem. Sama w końcu się w to wpackowała.

Andrew otoczył ją ramieniem.

- No cóż, kochanie, wygląda na to, że masz już pierścionek zaręczynowy. Jak się z tym czujesz?

- Fantastycznie. Po prostu fantastycznie.

- Gratuluję - rzekła sztywno Joanna. - Muszę was teraz przeprosić i zobaczyć, jak sobie radzą inni klienci. Gdy otwieramy nowy sklep, zawsze panuje prawdziwe urwanie głowy.

Andrew delikatnie uniósł ku górze twarz Kristin.

- Moje kochanie - powiedział wystarczająco głośno, by dotarło to do uszu Joanny. Po czym uśmiechnął się do narzeczonej i pocałował ją na oczach zarówno panny Larcum, jak i sprzedawczynie.

To był prawdziwy pocałunek. Tak prawdziwy, że Kristin zapomniała, że przecież nie jest prawdziwą narzeczoną. Liczyły się tylko jego usta na jej ustach, smak jego warg - i to, że przytulił ją do siebie tak mocno, jakby ta chwila miała trwać wiecznie.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Niestety, jak wszystko co dobre, pocałunek także musi się kiedyś skończyć, toteż po chwili Kristin uświadomiła sobie, iż jej ręce obejmują ramiona Andrew, zaś pierścionek, jak na ironię, błyszczy na palcu. No cóż, może była fałszywą narzeczoną, ale ten pocałunek z pewnością nie miał w sobie nic z fałszu.

- Ohoho! - rzekła Joanna Larcum i oddaliła się szybko. Nie mogła jednak sobie odmówić jeszcze jednego spojrzenia przez ramię.

Kristin nie bardzo wiedziała, jak się teraz zachować. Już i tak wkopała się po same uszy.

Andrew wypełnił jakieś papierki przy ladzie i złożył na nich zamaszty podpis. Sprzedawczyni wręczyła mu puste pudełeczko, ponieważ pierścionek ciągle tkwił na palcu Kristin.

- Moje gratulacje - rzekła. - Życzę państwu wspa-
niałego wspólnego życia.

Kristin z trudem powstrzymała jęk. Odciągnęła Andrew od lady.

- No to mamy - szepnęła. - Czy ten pocałunek był potrzebny? I do tego kupiłeś mi pierścionek zaręczynowy!

- Na to wygląda. - Nie sprawiał wrażenia zbyt przejętego.

- Chyba musimy trochę uważać, nie sądzisz? Za-
nim się obejrzymy, może się okazać, że ustaliliśmy w kościele datę ślubu.

- To prawda, że trochę straciliśmy kontrolę nad tym wszystkim - przyznał. - Zaręczyny zaczynają być własnym życiem.

W dziale z damską odzieżą Kristin zauważyła kilka krzeseł ustawionych w stosunkowo spokojnym zakątku i pociągnęła swego partnera w ich kierunku. Czowała dojmującą potrzebę, by na chwilę usiąść.

Gdy się już usadowiła, rozpostarła palce lewej dłoni i uważnie przyjrzała się pierścionkowi.

- Co my, u licha, z nim zrobimy? - spytała.

- Pewnie będziesz musiała go ponosić przez jakiś czas. - Andrew usiadł przy niej i wyciągnął długie nogi. - Zrelaksuj się. Wszystko idzie zgodnie z planem.

- Z jakim znowu planem? Kłopot polega na tym, że nie masz żadnego planu. Dobrze, będę dziś nosić pierścionek, a potem możesz go zwrócić i wycofać pieniądze. Tylko że Joanna na pewno się o tym dowie i znowu zacznie coś podejrzewać. Nie, nie możemy tego zrobić.

- Widzę, że wreszcie dałaś się w to wciągnąć - rzekł Andrew. - Uchwyciłaś, że tak powiem, ducha naszych zaręczyn.

Oczywiście żartował. Wiec czemu z taką łatwością mogła sobie wyobrazić, że jest naprawdę z nim zaręczona, że nosi na palcu pierścionek, który od niego dostała, że planują razem ślub... że zawsze byłby przy niej? Ach, ta jej wyobraźnia!

- Jeśli jeszcze to do ciebie nie dotarło - fuknęła - to z całą pewnością nie planuję prawdziwych zaręczyn. Jedna pomyłka tego rodzaju wystarczy mi na całe życie.

- Zdaje się, że ilekroć zupełnie się tego nie spodziewam, trafiam w czułe miejsce - jego głos był bardzo łagodny. - Fakt, tamten facet to prawdziwy drań, a ty miałaś pecha, że na niego trafiłaś. Ale to nie znaczy, że nie spotkasz kogoś, z kim będziesz szczęśliwa.

Kristin potrząsnęła głową.

- To nie jest kwestia pecha. Ja wybrałam mojego męża, wierząc głęboko, że znam go dobrze i że

dokonuję słusznego wyboru. W efekcie zastanawiam się, czy wiem w ogóle cokolwiek o mężczyznach.

- Jeśli zdecydujesz się na powtórne małżeństwo, Randy będzie miał prawdziwego ojca - powiedział.
- Może więc warto zaryzykować.

- Bardzo kocham mojego synka, ale to nie jest odpowiedni powód, by ponownie wyjść za mąż. Lepiej niech zostanie tak jak teraz.

- Słusznie. Z zastępczym ojcem, który zna swoje miejsce. I bez innych mężczyzn w twoim życiu.

Spojrzała na niego ostro.

- Andrew, nie rozumiesz? Mój eks-mążonek pozbył się Randy'ego, by zacząć wszystko od nowa. Po prostu tak, jak wyrzuca się stare ciuchy, by kupić kompletnie nową garderobę. Nie można narażać małego chłopca, by przeżył to więcej niż jeden jedyny raz.

Andrew patrzył na nią uparcie.

- Nie tylko Randy został odrzucony, prawda? Więc zdecydowałaś, że teraz ty będziesz decydować. Że pokażesz drzwi każdemu mężczyźnie, nim będzie miał okazję, by cię zdradzić.

Kristin wstała i ściągnęła pierścienek z palca.

- Chyba już możemy skończyć tę farsę? Odegraliśmy już nasze role i dla pana Larcuma, i dla Joanny.

Wyciągnęła rękę z pierścionkiem, on jednak go nie wziął.

- Chyba znów powiedziałem coś nie tak - stwierdził.

- 1 zrobiłeś coś nie tak. Pocałowałaś mnie, choć to było zupełnie niepotrzebne. Posunąłeś się za daleko.

- Kristin... ten pocałunek...

- Chyba już nie musimy o tym mówić!

Nie wiadomo czemu, serce zaczęło jej walić jak szalone. Jeśli to spowodowała sama rozmowa o całowaniu, to znaczy, że naprawdę jest w kiepskiej formie.

Ale on widocznie zgadzał się, że dość już rozmów. Nie odezwał się ani słowem. Po prostu wziął Kristin w ramiona i pocałował ponownie.

Tym razem nie było żadnych świadków. Andrew całował ją i całował wśród eleganckich sukien wystawionych na sprzedaż w Domu Towarowym Larcuma.

Kristin z trudem utrzymywała słuchawkę telefoniczną pomiędzy uchem a ramieniem. Obie ręce miała zajęte, bowiem właśnie ubijała ciasto na naleśniki. Ze słuchawki płynął głos Andrew.

- Jeszcze tylko ten jeden, jedyny raz, Kristin. I na tym koniec.

- Nie ma mowy - odparła. - Nie będę znowu udawać twojej narzeczonej. Byłam pewna, że wczoraj już z tym skończyliśmy.

- Posłuchaj mnie! Nie zamierzam cię prosić, abyś znów udawała, ale Larcumowie zaprosili nas na jutro na obiad. Myślę, że powinniśmy pójść. Po-
stanowiłem im wszystko wyjaśnić i chciałbym, żebyś przy tym była.

Kristin dziabnęła ciasto ubijaczką.

- O czym ty mówisz?

Jego głos nie zdradzał żadnych emocji.

- Po prostu doszedłem do wniosku, że nie jestem stworzony do intrygowania. Powiem im prawdę o naszych rzekomych zaręczynach.

- Szkoda, że nie wpadłeś na ten pomysł wczoraj. Zadaliśmy sobie tyle trudu i w gruncie rzeczy udało nam się wszystkich przekonać. Odwaliliśmy kawał dobrej roboty.

- Może nawet zbyt dobrej - odrzekł.

Zrozumiała, co chciał przez to powiedzieć: być może udało im się przekonać nawet siebie nawzajem. Kiedy Andrew pocałował ją po raz drugi...

- To może stworzyć poważne zagrożenie dla twojego kontraktu z panem Larcumem - rzekła. - Raczej nie będzie zachwycony, gdy się dowie, że to wszystko było komedią. Nikt nie lubi, jak się go nabiera.

W głosie Andrew nie było ani cienia ironii, gdy powiedział:

- A ja nie lubię nabierać innych. Dlatego wyjaśnię to, nawet gdybym miał stracić tę szansę.

Czuła podziw dla jego skrupułów, zaczęło ją jednak ogarniać przygnębienie.

- Szkoda, że nasze talenty aktorskie w końcu na nic się nie przydadzą - usiłowała zażartować. - Zadbaliśmy o wszystko, nawet o pierścionek.

Wczoraj wieczorem zawinęła klejnot starannie w koronkową chusteczkę i schowała do szuflady biureczka. Sama nie mogła pojąć, czemu po prostu nie zwróciła go Andrew.

- Więc pójdziesz ze mną, Kristin? - zapytał. - Myślenie, że masz prawo wysłuchać moich wyjaśnień.

Czemu, u licha, czuła się, jakby zrywali prawdziwe zaręczyny?

- Dobrze, pójdę z tobą - mruknęła.

- Oczywiście zabiorę dziś po południu Randy'ego na ten mecz softballu.

- Bardzo się na to cieszy - jej głos zmiażdżył, gdy padło imię synka. - Nie może się doczekać, kiedy cię znowu zobaczy.

- No, to pogadamy później.

- Tak, później...

Powoli odłożyła słuchawkę i stała przez moment w miejscu, bez przekonania ubijając naleśnikowe ciasto. Gdy się obróciła, zobaczyła Randy'ego w drzwiach holu. Miał na sobie wymiętą pidżamkę, ale wyglądał na w pełni rozbudzonego.

- Cześć - rzekła Kristin. - Masz ochotę na śniadanko? Przygotowałam naleśniki z sokiem z borówek.

W ciągu tygodnia przeważnie musieli spieszyć się ze śniadaniem, ale dbała, by choć w niedzielę mogli zjeść posiłek we dwoje i bez pośpiechu.

Randy wkroczył do kuchni.

- Mamo, o której przyjdzie Andrew?

- Zaraz po lunchu. I chciałam ci powiedzieć...

- Kristin zawahała się - że nie przychodził ostatnio, bo...

- Wiem, wiem. Nie przychodził, bo byłaś na niego wściekła.

- Coś tak jakby - rzekła smętnie, obserwując, jak syn wdrapuje się na krzesło i wydobywa z szafki butelkę z sokiem.

- A może by tak naleśniki z piklami? Spróbowała-byś, mamó?

- Mowy nie ma - wylała ciasto na patelnię.

- Mamó, czy ty wyjdiesz za Andrew?

Kristin omal nie upuściła patelni. Potrzebowała chwili, by odzyskać przytomność umysłu.

- Ja mam wyjść za Andrew? Skąd ci to przyszło do głowy?

- Zawsze szepczesz, kiedy z nim rozmawiasz przez telefon. I umawiacie się ze sobą. Mama Jonaha mówi, że na pewno się pobierzecie.

Widocznie do Pam dotarły plotki o rzekomych zaręczynach. Kristin położyła kilka naleśników na talerzu Randy'ego i poczekała, aż zacznie jeść. Potem również usiadła przy stole.

- Synku... nie wychodzę za niego.

- Ale jakbyś z nim wzięła ślub, to byłby moim prawdziwym tatą - rzekł z uporem Randy. - Jonah ma prawdziwego tatę.

Na szczęście w tej chwili w kuchni pojawił się Holmes, a tuż za nim wyrósł Sherlock. Odbyła się błyskawiczna pogoń wokół stołu, po czym oba zwierzaki znikły za drzwiami.

- Widzisz? - spytała Kristin. - Stanowimy prawdziwą rodzinę: ty, ja, Holmes, Sherlock, Watson i Hercule Poirot.

Została obdarowana maleńkim uśmiechem, za-barwionym borówkami.

- Jest jeszcze Agatha i Christie - dorzucił Randy.

Jakżeby było cudownie mieć magiczną różdżkę, dzięki której można by mu dać rodzinę, za jaką tęsknił: rodziców kochających siebie nawzajem oraz swego syna. Teraz dopiero uświadomiła sobie w całej

pełni, jak niebezpieczna była sprawa tak zwanych zaręczyn z Andrew. Pogłoski na ten temat już wywołały u chłopca próżne nadzieje.

Andrew ma słuszność. Nie można dłużej udawać.

Hotel Sequoyah w Danfield cechowała elegancja, a nawet pewne dostojęstwo. W wysokich oknach wisały atłasowe draperie, zaś podłoga pokryta była grubą, miękką wykładziną w arabeski. Obcasy pantofelków Kristin zapadały się głęboko, gdy szła przez hol u boku Andrew.

- Zdenerwowana? - zapytał.

- Troszeczkę - przyznała.

- Nie martw się, biorę wszystko na siebie. Ty po prostu ciesz się smacznym jedzeniem. Ja wpakowałem nas w tę aferę z Larcumami i ja muszę to wszystko naprawić.

Kristin wygładziła kołnierz zakietu. Ubrała się dzisiaj szczególnie starannie w mięciutką suknię w turecki wzór. To zapewne jej ostatni występ w charakterze narzeczonej Andrew, ale postanowiła wyglądać jak najkorzystniej.

- Ja też ponoszę część odpowiedzialności - rzekła - i mam zamiar w tym współuczestniczyć.

Spojrzała na swego towarzysza i zaskoczyło ją, jak świetnie wygląda. Był ubrany z bardziej oficjalną elegancją niż zwykle. W jasnobrazowym garniturze i ciemnym jedwabnym krawacie sprawiał wrażenie, jakby także starał się dobrze prezentować w chwili, gdy miał przed sobą niełatwe zadanie.

Pan Larcum z córką czekali już na nich w hotelowej restauracji. On sprawiał wrażenie pogodnego i odprężonego, Joanna zachowywała jednak pewną rezerwę. Niewątpliwie dostrzegła, że Kristin nie miała na palcu zaręczynowego pierścionka.

- Jak panu podoba się Danfield, panie Larcum?

- spytała Kristin z nieco wymuszoną wesołością.

- Znośne miejsce, pani doktor. Znośne. - Porządnicki, jak zwykle, strząsnął serwetkę, jak gdyby pozbywał się niewidzialnych okruszków. - Andrew opowiedział mi to i owo o historii tego miasta. Bardzo mnie zainteresowało to, co mówił o wyścigu po ziemię w Oklahomie w 1889. Dowiedziałem się, że Danfield stało się miastem podczas jednej nocy, gdy tysiące osadników zalało te tereny, by oznaczyć swe działki.

Joanna włączyła się wreszcie do rozmowy.

- Mnie interesuje tylko to, co wiąże się bezpośrednio z tobą, Andrew. Powiedz, proszę, czy ustaliliście już z Christine datę ślubu?

- Kristin, nie Christine - sprostował kolejny raz Andrew. Joanna uśmiechnęła się doń słodko.

- Więc kiedy ślub?

Odłożył menu, które właśnie studiował.

- Kiedy już poruszyłaś tę sprawę, chciałbym coś państwu wyjaśnić...

- Może zamówimy? - przerwała Kristin, otwierając własną kartę dań. - Umieram z głodu. Panie Larcum, zdaje się, że dają tu wspaniałą *ratatouille*.

Czemu, u licha, odkładała na potem to, co miało nastąpić? Zignorowała zdumione spojrzenie Andrew i rozpoczęła ożywioną rozmowę ze starszym panem na temat kuchni francuskiej i amerykańskiej.

Konwersacja zaczęła wygasać dopiero przy deserach. Kristin wpatrywała się w swój kompot ananasowy, marząc, by wieczór wreszcie dobiegł końca.

Joanna nachyliła się ku niej.

- Niewiele oboje zjedliście. Czyżby narzeczeństwo źle wpływało na apetyt?

Andrew odłożył widelczyk, którym miał właśnie zaatakować kawałek ciasta z rumem.

- Panie Larcum - rzekł z determinacją - to jest, chciałem powiedzieć, Ben. Jesteśmy oboje z Kristin wdzięczni za dzisiejsze zaproszenie...

- Chcieliśmy z Joanną poznać was lepiej - wszedł mu w słowo starszy pan. - Mogę ci zresztą powie-

dzieć, że jesteśmy niemal zdecydowani podpisać tę umowę...

- To świetna wiadomość - odpowiedział Andrew.

- Ale zanim się zdecydujecie, muszę wam o czymś powiedzieć. Otóż Kristin i ja... tak naprawdę...

- Tak naprawdę - przerwała mu Kristin - nie jesteśmy już zaręczeni. My... zerwaliśmy! Gdy państwo zaprosili nas na obiad, nie bardzo wiedzieliśmy, jak o tym powiedzieć.

Ujrzała przed sobą trzy zaskoczone twarze. Ale nikt nie był z pewnością bardziej zdziwiony, aniżeli ona sama. Nie miała zwyczaju zmyślać, ale tym razem słowa same wyrwały jej się z ust, zanim była w stanie je ocenzurować.

- To był bardzo miły wieczór. Proszę nam wybaczyć, panie Larcum, jeśli byliśmy trochę roztargnieni. To trudny moment...

- Tak, tak, oczywiście - starszy pan był wyraźnie zmieszany. - Przykro mi to słyszeć, pani doktor... czy mogę mówić do pani po imieniu? Widzisz, Kristin, Joanna i ja uważaliśmy was za idealną parę.

- Idealna para - powtórzyła jego córka z niemal nieuchwytnym odcieniem ironii w głosie. - Zdaje się, że twój eks-narzeczonny po prostu oniemiał. No cóż, Andrew, nic nie powiesz?

Ale on wpatrywał się tylko w Kristin z wyrazem nieopisanego zdumienia. Boże, co ona narobiła? Zamiast dopomóc w wyjaśnieniu tej komedii, jeszcze bardziej wszystko skomplikowała!

- Biiip, biiip, biiip - dał się nagle słyszeć pager Kristin. Nigdy jeszcze ten dźwięk tak jej nie ucieszył.

- Przepraszam bardzo - rzekła, podrywając się z krzesła. - Pilne wezwanie. Za chwileczkę wrócę.

Szybkim krokiem przeszła z restauracji do holu hotelowego. Połączyła się telefonicznie z centralą i już po chwili rozmawiała z podenerwowaną właścicielką kota.

- To na pewno nic groźnego, pani Meyers - uspokajała ją. - Koty często walczą między sobą. Proszę przywieźć Czarnuszkę jak najprędzej do kliniki, a ja założę mu szwy. Tak, już wyjeżdżam, zobaczymy się bardzo niedługo.

Odłożyła słuchawkę i stwierdziła, że w holu pojawiła się Joanna.

- Och, Kristin, ale nas zaskoczyłaś! A w dodatku uciekasz, zanim mieliśmy czas ochłonać.

- Wiec, kiedy masz ochotę, jesteś jednak w stanie zapamiętać, jak mam na imię - rzekła chłodno Kristin.

- Dobrze, dobrze. Lubię sobie czasem zartować, w końcu to nic złego. Ale ty jesteś dla mnie naprawdę zagadką. Cóż to się między wami popsuło?

Kristin spojrzała niecierpliwie na zegarek.

-Joanno, mam poważny przypadek. Czy mogłabyś w moim imieniu przeprosić swojego ojca i Andrew. ..

-Nic nie rozumiem. Jesteś po uszy zakochana w Andrew, a uciekasz od niego. To chyba ważniejsze niż ten przypadek?

Kristin spojrzała na nią szeroko otwartymi oczyma.

- Zakochana? Oczywiście, że nie jestem zakochana!

Joanna usiadła wygodnie na jednym z połączanych krzesełek, zakładając jedną zgrabną nogę na drugą. Jak zawsze, mimo mało efektownego stroju, wyglądała uroczo.

-Właściwie to sama miałam oko na Andrew. Szczerze mówiąc, próbowałam nawet doprowadzić do tego, byście ze sobą zerwali. Ale... w końcu zobaczyłam, co was naprawdę łączy. Po prostu szalejecie za sobą.

Kristin roześmiała się z przymusem. Zerwanie rzeczywiście było nonsensem, ale w innym znaczeniu, niż sądziła Joanna.

- Czasem ludzie po prostu do siebie nie pasują
- rzekła. - Lepiej sobie z tego w porę zdać sprawę.
Muszę już naprawdę pędzić.

- Andrew i ty wyjątkowo pasujecie do siebie.
Znam się na ludziach, w końcu jestem szefem personelu... Ale jeśli rzeczywiście zamierzasz go porzucić, będzie potrzebował kogoś, kto go pocieszy. - Joanna miała teraz całkiem zadowoloną minę. Wstała i ruszyła z powrotem w kierunku restauracji. - Nie martw się. Ja się nim zajmę.

Wszystko komplikowało się coraz bardziej. Teraz Kristin nie mogła znieść myśli, że panna Larcum będzie pocieszać Andrew po niby-zerwaniu ich niby-zaręczyn. Miała ochotę odwrócić się, wkroczyć do restauracji i dowieść Joannie, że...

Ale zamiast tego wydała jęk rozpaczy i wybiegła z hotelu Sequoyah.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Kristin siedziała w biurze kliniki weterynaryjnej wypełniając karty pacjentów. „Piegus - mieszaniec teriera, wiek - trzy lata, wszystkie niezbędne szczepienia na bieżąco...”. Słumiła ziewnięcie i odłożyła pióro. Niestety, to tylko chwilowa przerwa w jej obowiązkach. Na popołudnie miała już zapisanych kilkoro pacjentów, w tym wielkiego dobermana wabiącego się Sam, który czekał ze strachu, gdy tylko skierowało się strzykawkę w jego stronę. Poza tym musi popracować nad wykładem o należytej opiece nad zwierzętami domowymi, który ma wygłosić w Centrum Społecznym w przyszłym tygodniu. Zazwyczaj przygotowanie wystąpienia nie stanowiło dla Kristin żadnego problemu, ale dzisiaj jedyne, o czym marzyła, to zamknąć oczy, nakryć się kocem i zapomnieć o wszystkim.

Nie chodziło zresztą o obowiązki. Po prostu nie spała dobrze od chwili, gdy skończyły się jej tak zwane zareczyny. Praca też nie pomagała. Cokolwiek robiła, nie mogła uwolnić się od myśli o Andrew.

Nie była w stanie skoncentrować się ani na swych zajęciach służbowych, ani macierzyńskich...

Rozległo się stukanie do drzwi.

- Proszę wejść - zawołała.

Drzwi otwarły się i ukazał się Andrew. Rzuciła mu nieufne spojrzenie.

- Cześć - pozdrowiła go.

- Cześć. Przyszedłem po Randy'ego.

W ciągu tych ostatnich kilku dni byli dla siebie bardzo uprzejmi. Nie rozmawiali ze sobą naprawdę,

wymieniali tylko zdawkowe słowa, gdy Andrew przychodził po małego. Teraz Kristin poczuła, że nie może dopuścić, by zapadło milczenie.

- Randy zaraz przyjdzie. Poszedł odwiedzić naszego najnowszego pacjenta, wiewiórkę ziemną ze złamaną łapką. Ktoś znalazł to biedactwo na poboczu drogi... - Zrobiła niepewny ruch dłonią. - Siądź na chwilę, dobrze? Chciałabym wyjaśnić kilka spraw.

- Prawdę mówiąc, ja też. - Odwrócił krzesło i usiadł na nim okrakiem. - Zachodzę w głowę, czemu nie pozwoliłaś mi powiedzieć prawdy Larcumom. Teraz nie tylko wierzą, że zaręczyny były na serio, ale także, że naprawdę zerwaliśmy ze sobą. Wkopaliśmy się jeszcze głębiej.

- Sama nie wiem, czemu tak postąpiłam - przyznała Kristin z westchnieniem. - Może chodziło mi o ciebie. Pan Larcum jest na pewno bardziej życzliwie do ciebie nastawiony teraz, niż gdyby wiedział, że go oszukałeś.

- Teraz Ben po prostu uważa, że mam źle w głowie, skoro pozwoliłem odejść takiej kobiecie, jak ty.

Kristin położyła przed sobą kartę choroby Piegusa i wpatrywała się w nią uważnie.

- Joanna zadała mi niemal to samo pytanie, dlaczego pozwalałam odejść komuś takiemu, jak ty. Oni nam naprawdę wierzą, Andrew. Joanna uważa, że jesteśmy zakochani. Niezły figiel spłataliśmy sami sobie.

- Czy to na pewno figiel? - spytał spokojnym tonem.

- Ty mi to powiedz - jej głos brzmiał niepewnie.

Andrew milczał przez moment. Potem odezwał się szorstko:

- Do diabła, już nic nie rozumiem, Kristin. Cały czas odpychasz mnie od siebie. Wciąż mi nie ufasz.

Uderzyła dłonią w kartę.

- A czemu miałabym ci ufać? Nie wiem nawet, co do mnie czujesz.

- To wszystko miało być inaczej - Andrew mówił jakby do siebie. - Chciałem przez pewien czas uniknąć kłopotów z kobietami. Czy to takie wygórowane życzenie?

Więc tak. Zadała mu pytanie o uczucia, a wszystko, co miał do powiedzenia, to tylko to, że nie chciał kłopotów z kobietami... Włożyła dłoń do kieszeni laboratoryjnego kitla i wydobyła złożoną chusteczkę. Rozwinęła ją. Zalśnił brylant w pierścionku.

- Proszę, weź to - rzekła szorstko. - Nie interesuje mnie, czy zwrócisz go do sklepu Larcuma. Tak czy inaczej to już koniec zaręczyn.

Rzucił jej niepewne spojrzenie.

- Musimy jakoś uporządkować te sprawy.

- Przecież wypowiedziałeś się już wystarczająco jasno. Słuchaj, może trochę się zagubiliśmy, zbyt wciągnęły nas role. Ale już po wszystkim.

Andrew sprawiał wrażenie, jakby chciał coś powiedzieć, ale w tym momencie do biura wpadł Randy. Schował więc bez słowa pierścionek do kieszeni i skupił uwagę na chłopcu. Kilka minut później Kristin przez okno obserwowała ich, jak wyruszali kolejny raz na wyprawę do salonu gier: chłopiec, któremu tak bardzo brakowało ojca, i mężczyzna, z którym jej syn czuł się szczęśliwy. Musiała mrugnąć, bo łzy zamazały jej obraz.

Czemu popłakuje jak idiotka? Joanna powiedziałyby, że wszystkim winna jest miłość. A Kristin zaczynała się zastanawiać, czy panna Larcum nie miała przypadkiem racji. Czy to możliwe, zadała sobie pytanie, że zakochałam się w Andrew O'Donnellu?

Żyzna, wilgotna gleba, łopatka i paczuszka nasion niezapominajek powinny stanowić kombinację łagodzącą stargane nerwy Kristin. Tym razem jednak wypróbowany sposób nie działał. Klęczała na wilgotnej ziemi, grzebiąc w niej bez przekonania. Co się z nią

dzieje? Dlaczego nie jest w stanie po prostu wyrzucić Andrew z pamięci? Przez całe dwa tygodnie unikała go, jak mogła. Ilekroć przychodził po Randy'ego, zawsze była w innym pokoju, bardzo zajęta. Po czternastu długich dniach powinna móc skoncentrować się na innych sprawach. Ale wciąż wracała doń myślami.

Zdegustowana, odrzuciła łożatkę i weszła na werandę, gdzie opadła na skrzypiące wiklinowe krzeselko i pociągnęła łyk mrożonej herbaty. Na balustradce lśniła sierść rozciągniętego na słońcu Holmesa. Sherlock drzemał u stóp swej pani, zbyt rozleniwiony, by ganiać za kotami. Kristin pozazdrościła nagle zwierzętom ich luzu i wewnętrznego spokoju.

Na podjazd wjechało czerwone bronco i w chwilę później Andrew, świeży i tryskający wigorem, zbliżył się do werandy. Ze swymi kruczymi włosami i szarymi oczyma był chyba najprzystojniejszym mężczyzną w całym Danfield - nie, w całym stanie Oklahoma...

Kristin spojrzała nań niechętnie.

- Skąd się tu wziąłeś? - spytała. - Przecież nie jesteś dziś umówiony z Randym. Zresztą i tak go nie ma, poszedł do Jonaha.

Andrew zignorował jej słowa. Zatrzymał się u podnóża stopni wiodących na werandę i zwrócił się do kota z powagą:

- Holmes, mamy z Kristin poważny problem. Chcielibyśmy cię prosić o radę.

Kot, obserwujący uważnie Andrew, mrugnął z powagą. Kristin poczuła jeszcze większą irytację.

- O co chodzi, Andrew?

Andrew delikatnie poskrobał po łebku Holmesa, który aż zamknął ślepią ze szczęścia. Potem uśmiechnął się do jego właścicielki.

- Chciałem ci powiedzieć, że Ben Larcum podpisał ze mną w zeszłym tygodniu umowę. We wszystkich jego domach towarowych będzie prowadzona sprzedaż zegarków O'Donnella.

Kristin zapomniała o gniewie.

- Och, jak się cieszę! - zawołała. - Wiem, jak zabiegałeś o ten kontrakt. Teraz będziesz mógł zrobić wszystko, co sobie zaplanowałeś.

- Jeszcze coś. - Andrew wszedł na następny stopień i pochylił się, by poklepać Sherlocka. Pies, uszczęśliwiony, pomachał ogonem, a Andrew kontynuował: - Zanim doszło do podpisania umowy, przyznałem się Benowi, że nasze zaręczyny to bujda od początku do końca.

- Ach, tak - Kristin odstawiła szklanę. - Dowiedział się prawdy i mimo to podpisał umowę? Nie zdenerwowało go to?

- Okazało się, że ma fantastyczne poczucie humoru. Długo chichotał, a potem poradził mi, żebym teraz zaręczył się naprawdę.

Kristin usłyszała łomotanie własnego serca, starała się jednak zachować nonszalancję.

- Myślę, że Joanna byłaby zachwycona, gdyby mogła wyjść za ciebie. Czemu nie spróbujesz?

Andrew zrobił kolejny krok w stronę Kristin.

- Nie, nie. Joanna nie jest w moim typie. To pani została wytypowana, pani doktor.

Zerwała się na równe nogi, ze zdenerwowania omal nie przewróciła się o Sherlocka.

- Co ty znowu pleciesz? Nie będę więcej tolerować takich żartów...

- Teraz mówię poważnie. Chcę ci zaproponować najprawdziwszego męża. To znaczy siebie. - Ponownie obdarzył ją swoim ujmującym uśmiechem i zbliżył się jeszcze bardziej.

Kristin cofnęła się o krok. Nie wierzyła własnym uszom. Zbyt przypominało to jej najgłębiej skrywane marzenia z ostatnich tygodni.

- Daj spokój, Andrew. Nie ma mowy. Jakże mogłabym uwierzyć, że chcesz się ze mną ożenić? Najpierw mówisz, że nie życzysz sobie kłopotów z kobietami, a teraz...

- Po prostu musiało minąć trochę czasu, zanim się w tym wszystkim połapałem. Rozmowa z Benem Larcumem otworzyła mi oczy. Uświadomiłem sobie, że to, czego najbardziej potrzebuję, znajduje się tuż, tuż. A właściwie ktoś. Ty, Kristin. Narzeczona, jakiej pragnę.

Próbowała znowu się trochę cofnąć, ale na werandzie nie było już miejsca.

-Jeśli ci potrzebna narzeczona, poszukaj sobie kogoś innego.

Teraz już znalazła się niebezpiecznie blisko drewnianej balustrady, a Andre w zbliżył się jeszcze bardziej

- Nikt inny się nie nadaje - stwierdził rzeczowo.
- Możesz mi wierzyć. Miałem dosyć problemów z kobietami, by wiedzieć, o czym mówię. A naprawdę problem był tylko jeden, pani doktor. Nie mogłem trafić na tę właściwą kobietę, której szukałem. Kobieta ze złotymi włosami, z synkiem imieniem Randy, kotem, który udziela dobrych rad, i całą menażerią innych zwierzaków.

- Andrew, proszę cię, przestań - Kristin brakowało tchu. Wpatrywał się w nią z napięciem.

- Wróciłem do Danfield, ponieważ czegoś brakowało w moim życiu. Czegoś bardzo ważnego - mówił teraz cichym, trochę schrypniętym głosem. - Myślałem, że odbudowanie rodzinnego przedsiębiorstwa wystarczy, by zaspokoić tę potrzebę. Nie wierzyłem, gdy Wysoki Sąd oznajmił, że jest mi potrzebna rodzina, a nie tylko rodzinna firma. Ale kiedy poznałem ciebie i Randy'ego, czterdzieści godzin zaczęło wydawać się zbyt krótkim czasem. Zdecydowałem się na następne czterdzieści, ale to też nie wystarczy. Zacząłem więc myśleć w kategoriach czterdziestu lat.

Kristin musiała użyć całej siły woli, by nie rzucić mu się natychmiast w ramiona. Ale wciąż odczuwała lęk.

- Andrew - szepnęła - nie wiem, czy umiałabym znowu zaufać...

- W niczym nie przypominam twego byłego męża - oświadczył stanowczo. - Może trochę dłużej trwało, zanim się zorientowałem, że kobieta mojego życia znajduje się tuż obok mnie. Ale gdy już to zrozumiałem, to z całą pewnością nie pozwolę jej odejść. Nauczysz się mieć do mnie zaufanie, Kristin. Będziesz miała na to czterdzieści lat, a może i więcej.

Wydobył z kieszeni pudełeczko i otworzył je. W chwilę później wsunął mały, dobrze im znany pierścionek na serdeczny palec Kristin.

- W dalszym ciągu pasuje - stwierdził. - Co pani na to, pani doktor? Czy wyjdzie pani za mnie?

- Nie - rzekła, patrząc, jak brylant lśni w blasku słońca. - Nie wyjdę za ciebie.

-Więc podaj mi trzy uzasadnione powody, dla których nie chcesz się zgodzić.

Stał teraz tak blisko, że czubki kowbojskich butów dotykały jej palców u stóp. Nabrała w płuca powietrza, ale wcale jej to nie pomogło jaśniej myśleć.

- Trzy powody... - mruknęła. - To bardzo proste. Po pierwsze, postanowiłam nie wychodzić nigdy więcej za męża. A drugi powód... - Szukała w pamięci tylekroć używanych argumentów, ale jakoś nic nie przychodziło jej do głowy. Tak długo je przywoływała, by się za nimi ukryć, trzymała się ich kurczowo niby znoszonego płaszcza, który być może użyczy jej choć trochę ciepła. A teraz już nie były jej potrzebne. Słońce otulało ją swym blaskiem, słodkim i czystym jak miód, a Andrew otoczył ją ramionami.

- Popełniłabyś błąd nie wychodząc za mnie. Wiesz o tym świetnie, ale nie chcesz powiedzieć tego głośno.

-W takim razie ty podaj mi trzy powody, dla których powinnam zostać twoją żoną!

- O, to łatwe. Po pierwsze, kocham cię, Kristin. A jeśli chodzi o dwa pozostałe...

- Nic ci nie przychodzi do głowy, prawda? - Drżała w jego ramionach, wciąż jeszcze lekko odpychając go rozpostartymi dłońmi.

- Powód drugi i powód trzeci: kocham cię, Kristin. I jeszcze raz: kocham. Jak widzisz, mogę ci podać tych powodów, ile tylko zechcesz.

Wpatrywała się w niego, a dawne lęki i zastrzeżenia wobec miłości opadły z niej w jednej chwili. Już nie bała się niczego.

- Och, Andrew... nie liczyłam na to... nie liczyłam, że dzięki tobie znów zacznę mieć nadzieję.

- Chcę, żebyś miała tyle nadziei, jakby to był pierwszy raz - rzekł porywczo. - Pierwszy dla nas obojga. W tej chwili zaczyna się coś nowego.

- Zupełnie nowego...

I tak właśnie się czuła. Młoda i radosna jak ktoś, kto stanął w obliczu miłości po raz pierwszy. Andrew uświadomił jej, że przyszłość może być absolutnie odmienna od tego, co spotkało ją w przeszłości. Gdy przeprowadziła się do Oklahomy, było to znacznie więcej aniżeli przekroczenie granicy stanu. Wkroczyła także w dziki, nie znany obszar własnego serca.

- Właściwie to bardzo wygodne - rzekła wreszcie.

- Mamy już przecież pierścionek zaręczynowy.

- Jak się tak nad tym zastanowić, to nawet zaręczyny mamy z głowy - zauważył. - Może więc po prostu od razu się pobierzemy?

Skinęła głową, przepełniona spokojnym, ufnym szczęściem.

- Pewien mały chłopiec będzie z tego powodu uszczęśliwiony.

- Myślisz, że pozwoli nam wymknąć się w podróż poślubną?

- Pozwoli na wszystko, byleby wreszcie mieć prawdziwego ojca. Andrew... czy w ogóle nie masz zamiaru mnie pocałować?

Dopiero po wielu pocałunkach Kristin uwolniła się z objęć narzeczonego - swego najprawdziwszego narzeczonego.

- Chyba o czymś zapomniałam - szepnęła.

- Mmm? O czym mianowicie? - Andrew leciutko dotykał ustami jej policzka, wyraźnie planując kolejny pocałunek. Kristin nie miała nic przeciwko temu, ale wciąż pozostawał ten mały szczegół...

- Niemal zapomniałam ci powiedzieć. Chodzi o to, że... Ja też cię kocham. Szaleję za tobą.

Zanim Andrew mógł zareagować na te słowa, nad balustradą werandy ukazała się rozczochrana jasna głowa. Randy z wyraźną satysfakcją obrzucił wzrokiem Kristin i swego przyszłego ojca. Nie był zbyt zaskoczony faktem, że stali przytuleni do siebie.

- Mamo, kiedy będzie ślub? - zapytał z powagą.
- Jonah mówi, że będę musiał włożyć garnitur. Czy Andrew też będzie w garniturze?

Kristin i Andrew roześmieli się jednocześnie, ale odpowiedział Andrew.

- Synu, obaj wystąpimy w zabójczych smokingach. To będzie wesele, jakiego jeszcze świat nie widział. Ale teraz...

I teraz Andrew znowu pocałował Kristin. I będzie ją całował teraz i zawsze.